

Nr 3 (50)
2012



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

DRODZY
CZYTELNICY
I AUTORZY!
ODDAJEMY
W WASZE RĘCE

50!
NUMER
a w nim:

MOTYL 2012
dla Z. Marka
Piechockiego
SONAR
Mecenasem Kultury

*

O Andrzej
Gordonie
w dwadzieścia
lat po...

*

PREMIERY
KSIĄŻEK
PISARZY
GORZOWSKICH

Beaty P. Klary
Marii Borcz
Iwony M. Żytkowiak
Gąsiora
Jacka Laudy

*

Nowe wiersze
poematy
recenzje oraz
aforyzmy
humoreski
groteski i jak
w każdym numerze
wiele innych
literariów lubuskich

Maria Borcz

nie daj się

*Najlepsze wychowanie
to brak wychowania?
(Ryszard Legutko)*

pies niech się bawi kością
gdy gryzie nie szczeka
świnie pozostaw w błocie
kiedyś wykiełkuje człowiek
krowę wprowadź do obory
wydoją zmańdrzeje
baranowi daj trawkę
gdy pali nie bodzie
kogut niech sobie pieje
kiedyś zachrypnie
nie daj się ponieść emocjom
i nie pozwól im zasnąć
by świat nie przemienił się
w folwark



Ireneusz Krzysztof
SZMIDT

Mamy Pegaza!

Takim tytułem opatrzyłem artykuł wstępny pierwszego numeru „Pegaza Lubuskiego” w maju 2003 roku.

I dalej:

Podajemy kolejną w Gorzowie próbę osiedlenia skrzydlatego rumaka, jedynie skutecznego środka lokomocji dla tych, co wybierają się na Parnas.

Nie ma na świecie środowiska literackiego, które nie marzyłoby o własnym piśmie. Tam, gdzie pisarze mogą swoje nowe utwory ujrzyć w druku, zanim pojawią się one w postaci książki, jest szansa na ich doskonalenie, bo w piśmie często stają się przedmiotem dyskusji, uwag i polemik krytycznych. Wokół pisma gromadzą się autorzy i czytelnicy ich późniejszych książek. Staje się ono stymulatorem życia literackiego danego środowiska, określonego granicami kraju, regionu czy miasta. (...)

Takie były plany i cel. Pytałem:

Czy nasz gorzowski PEGAZ – w założeniu miesięcznik, którego pierwszy, sygnałowy numer oddajemy dziś naszym czytelnikom, dzięki inicjatywie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie oraz Zarządowi Gorzowskiego Klubu Literackiego ZLP – ma szansę stać się tak długo oczekiwanym pismem literackim?

(...) Ten pierwszy numer PEGAZA daleki jest jeszcze od formuły prawdziwego periodyku literackiego. To zaledwie arkusz, pomyślany jako program wspólnego wieczoru autorskiego gorzowskich członków

*i kandydatów ZLP, wydany w maksymalnej skromności nakładu i szaty edytorskiej. Zawdzięczamy go osobistemu staraniu dyrektora WiMBP, Edwarda Jaworskiego i Danuty Zielińskiej – kierowniczkę działu informacyjno-bibliograficznego tej instytucji.(...), którzy podjęli naszą inicjatywę i wsparli ją merytorycznie i materialnie. Nie udało się stworzyć regularnego miesięcznika. Na to potrzeba dużo pieniędzy i zatrudnionych w redakcji ludzi. W porywach dochodziliśmy do 7 numerów rocznie. Ostatecznie ustabilizowaliśmy się na kwartalniku. Cóż, kryzysowe oszczędności dotknęły także naszego patrona, ale na ile go stać, ponosi podstawowe koszty realizacji pisma i jego promocji. Tworzy także wizualną stronę obsługi środowiska pisarskiego Gorzowa, gromadzi popiersia tych z nas, którzy na zawsze odchodzą a Salon Literacki przy kawiarni ozdobiony jest kilkudziesięcioma kolorowymi karykaturami autorów książek, także tych spoza ZLP – dzieło naszego przyjaciela, także ilustratora wielu książek z serii *Biblioteki Pegaza Lubuskiego*, Zbyszka Olchowika.*

Czas pokaże, czy starczy nam siły, aktywności i tekstów godnych druku – konkludowałem w pierwszym „wstępie”. Czas pokazał, że starczyło, jak na razie, na 50 edycji. I pewnie damy radę dociągnąć do „setki”, w dotychczasowej formule ideowej czasopisma lokalnego. Osobiście jej strzegłem przy wsparciu mądrych przyjaciół Pegaza. W efekcie: liczba członków zwyczajnych ZLP z siedmiu w 2003 wzrosła do trzydziestu, z których pięciu już nie ma między nami. Nie zapominamy o nich – także na łamach pisma. W listopadowym numerze będzie więcej o Zdzisławie Morawskim – przypomnimy go jako prozaika; będzie także o płycie CD z muzyką do wierszy Furmana. W tym, jubileuszowym numerze, z radością witam pierwszą profesjonalnie wydaną płytę Gorzowskiej Filharmonii. Coraz więcej materiałów nie mieści się w obecnej objętości pisma i przechodzi do kolejnego numeru. Autorów to nie cieszy. Mnie tak.

Wasz red. nacz.

MYŚLI POLECANE

Ci, którzy przechodzą do historii, nie są wolni od historyjek.

Prawo nie działa wstecz. To teren bezprawia!!!

Prywatyzacja – łagodna droga powrotu do niewolnictwa...

W naszym wymiarze sprawiedliwości wilk potrafi oskarżyć zającą, że zjadł mu owcę...

Parlamentarzystom wielokrotnie kłaniała się logika. Na niektórych – pewnie się wypięła.

Głupota osiągnęła szczyty, mądrość dopiero się wspina...

TADEUSZ SZYFER

KATEGORIA „A” czy „B”

Można śmiało obwieścić, że wakacje letnie są już poza nami. Podczas urlopu widziałem wczasowiczów uprawiających dolce far niente, czyli głównie picie piwa, smażenie się na plaży i obżeranie przedziwnymi produktami rodzimej garmażerii udającej cywilizowaną szkołę dietetyczną. Ku mojej wielkiej radości w ośrodku wczasowym dostrzegłem też ludzi czytających książki. Nie miałem okazji sprawdzić, jaki rodzaj literatury preferują ludzie na urlopie, ale sam fakt, że ktoś łączy wdychanie jodu i korzystanie z dobrodziejstw bałtyckiego klimatu z dobrodziejstwem obcowania ze słowem pisanim, napawał mnie radością. Wszak pamiętam czasy, gdy królem rozrywki ośrodków wczasowych był (nieczęsto) kolorowy telewizor, przed którym ogłupiali się wieczorami – sącząc trunki – wcale liczni wczasowicze. Na drugim miejscu były dyskoteki. Tam z kolei biegli ci, którzy mieli więcej sił niż minimum konieczne do utrzymania otwartych oczu i pojemnika na dowolny napój. Summa summarum, rano i tak wszyscy zmęczeni z różnych powodów wczasowicze spotykali się na śniadaniu – równie dietetycznym w latach osiemdziesiątych co w roku 2012. Ergo primo, w związku z dietą po pierwszych dniach „zbiorowego żywienia” w moim pensjonacie a.d. 2012 wypisałem się ze stołówki dla mieszkańców ośrodka. Przekonanie, że wyszło mi to na zdrowie, nie opuszcza mnie po dzisiejszy dzień. Secundo, poprosiłem o odłączenie telewizji kablowej – wszak oczy niemłode i wzrok nie ten na oglądanie byle czego. Jako że pensjonat stał jakieś dwieście metrów od morza, nie musiałem więc katować się spacerami – czytaj: slalomem między ryzykantami dopraszającymi się słonecznego raka skóry. Otwieram okno i mam nadzieję na dawkę jodu. Tak też się stało. Nieco skomplikowane zabiegi. Opowiadałem o nich jednak dla ważkiego powodu. Nietrudno domyśleć się, co robiłem w zaciszu mojej wakacyjnej garsoniery. Otóż nakupiłem sobie książek „lekkiego” kalibru literackiego, żeby czytając, nie obciążać mózgu problemami egzystencjalnymi, a przy okazji zobaczyć, co to znaczy sort „B”. Wiemy, że takie określenie funkcjonuje w odniesieniu do sztuki filmowej. Ja zaś przeniosłem je na płaszczyznę dokonań literatury polskiej. Wybrałem to co nie zmęczy, co przykuje uwagę, co zainteresuje i da minimum satysfakcji intelektualnej.

Wybrałem Andrzeja Pilipiuka „Operację Dzień Wskrzeszenia”, Marcina Ciszewskiego „www.1939.com.pl” i Jacka Piekary „Przenajświętszą Rzeczpospolitą”. Nie mam zamiaru opowiadać o treści tych książek. I bynajmniej nie leży w moich zamiarach ich analiza krytyczna – bogi brońcie. Na urlopie chodziło mi o to, żeby było miło i przyjemnie. A wymienieni pisarze wypełnili całkowicie swoje zadanie. Owszem, nie szukałem dzieł literackich, które mają przejść do kanonu literatury światowej. Nie szukałem zmagania człowieka z absolutem i odpowiedzi na odwieczne pytania filozofów. Nie chciałem Jazonów, Konradów, okopów trójcy, ani żadnej tego typu „rozrywki”. Nie to miejsce i nie ten czas. Szukałem lekkiej, dobrze skrojonej literatury, napisanej poprawną polszczyzną, z przemyślanym planem akcji. Moje oczekiwania odnośnie fabuły w przypadku żadnej z tych pozycji nie zawiodły mnie. Autorzy naprawdę potrafią przykuć

uwagę czytelnika wartką akcją, połączoną z jej zwrotami, nie przemęczając przy tym jakimiś pogłębionymi refleksjami. Chociaż to akurat nie do końca jest prawdą. Z przyjemnością posmakowałem tego rodzaju literatury i śmiało twierdzę – nie zawiodłem się. Tego właśnie oczekiwałem podczas programowego obijania się podczas wakacyjnego wypoczynku nad naszym ukochanym Bałtykiem.

Lektura wspomnianych trzech autorów, jakże sprawnie posługujących się piórem ku ucieście i satysfakcji czytelnika, przyprawiła mnie o refleksje.

Oto nasze polskie poletko. Domagamy się bycia pierwszą ligą. Kategorią „A” – niezmiennie i w każdej dziedzinie. Tak więc oczekujemy, że będziemy Zieloną Wyspą i mistrzem świata w gospodarce. Oczywiście, mistrzem świata w piłce nożnej, a także w tempie budowy autostrad. W poziomie martyrologii narodowej i liczbie partyzantów w skali światowej. Oczekujemy, że potęgi tego świata (przepraszam, nie będę wymieniał ich imion) powinny traktować Polskę i Polaków jako graczy pierwszej kategorii na wszelkich szachownicach, od polityki po produkcję szpilek. Kategoria „A” i czerwone dywany rozścielane przed nami. Nami jako krajem, nami jako narodem, nami jako mną i Tobą.

Lektura Pilipiuka, Ciszewskiego i Piekary uświadomiła mi, że kategoria „B” – jeśli porządnie wykonana – też sprawia satysfakcję. Wspomniani autorzy nie domagają się postawienia na panteonie, im wystarczy fakt, że ludzie sięgają po ich książki i czytają je z radością i satysfakcją. Fakt, że nie jest to „pierwsza liga”, nie zmienia rzeczywistości dobrze wykonanego dzieła i wynikającego zeń popytu. Może to skromność? Może poczucie pozytywistycznego realizmu? Pewne odniesienia z historii naszej rodzimej literatury narzucają się wprost.

Zawyżone aspiracje wymuszają automatycznie mitologizację, skromność „kategorii B” – przeciwnie – poprawia najwzyczajniej potrzebne samopoczucie i samoocenę. Aż się chce postawić kwestię: co się bardziej oplaca? Co lepsze? Oto pytania o mity i rzeczywistość.

Marek Grewling

Zygmunt Marek PIECHOCKI

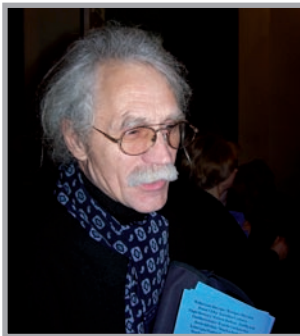
MANTYLKA z tęsknoty

**Tym razem będzie inaczej
żadnych opuszków arabesk
nimi**

**Staniesz przede mną
obejmę cię dłonią szeroką
zniżę głowę ku zarysowi ramion**

**i już tak coraz to niżej oddzielał będę duszę od ciała
aż do tych motyli skrzydeł**

Wtedy zaprzestanę



MOTYL dla Z. MARKA PIECHOCKIEGO

14 września odbyła się uroczysta miejska inauguracja sezonu kulturalnego 2012/2013. Podczas gali w Filharmonii Gorzowskiej wręczono dwie prestiżowe nagrody.

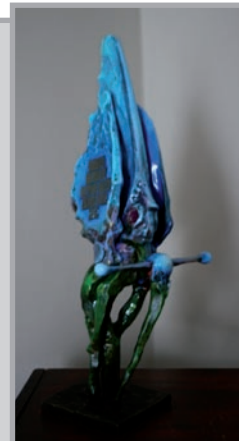
Motyła, czyli Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Gorzowa Wlkp., otrzymał w tym roku Zygmunt Marek Piechocki, natomiast przyznawaną po raz pierwszy nagrodę honorową Mecenasa Kultury – Gorzów Przysiań otrzymała Drukarnia Sonar.

Zygmunt Marek Piechocki – poeta i pisarz, członek gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, autor czterech tomików poezji i jednej książki prozą. Tomik „Sytuacje” nominowany był w 2010 r. do najważniejszej w województwie lubuskim nagrody literackiej – Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, a książka „Listy hipotetyczne” otrzymała w 2011 r. „Wawrzyn” za wyjątkowe walory wydawnicze. Animator kultury działający w dziedzinach: muzyki, literatury, sztuk plastycznych. Poeta, pisarz, publicysta, koneser i znawca muzyki klasycznej, organizator imprez kulturalnych, spotkań, recitali, niezwiązany na stałe z żadną instytucją kultury.

Sonar Spółka z o. o. – w ciągu ponad dziesięciu lat z małej drukarni o zasięgu lokalnym stała się przedsiębiorstwem o znaczeniu ogólnopolskim. Na przełomie lat 2011 i 2012 Drukarnia rozpoczęła nową formę działalności – zostało powołane do życia Wydawnictwo Sonar Literacki, wydające m.in. książki autorów gorzowskich oraz o tematyce związanej z naszym miastem. Sonar wspiera inicjatywy kulturalne instytucji, stowarzyszeń i ludzi kultury, a także publikacje o tematyce kulturalnej, informacyjnej, w tym bezpłatny miesięcznik informacyjny „SPAM – Solidna Porcja Aktywności Miejskiej”, kierowany do mieszkańców Gorzowa i okolic.

Uroczystość w Filharmonii, utrzymaną w klimacie lat 20. i 30., poprowadzili Ewa Pawlak – dyrektor Wydziału Kultury i Jarosław Piśkuła – dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Wojcieszycach. Część artystyczną stanowił występ zespołu Aluzja – młodzi artyści zaprezentowali fragmenty widowiska muzycznego „W kinie z Chaplinem...”.

Nagrody kulturalne prezydenta miasta są przyznawane od 1999 r. Autorem statuetek, które każdego roku zyskują inną, niepowtarzalną formę, jest znany gorzowski rzeźbiarz Andrzej Moskaluk.



Mija 20 lat od śmierci **Andrzeja Gordona** (1945-1992), najwybitniejszego malarza żyjącego i tworzącego w powojennym Gorzowie.

Miejski Ośrodek Sztuki i Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta zapraszają do obejrzenia dwóch wystaw poświęconych twórczości artysty, a Klub Myśli Twórczej „LAMUS” – wystawy poświęconej pamięci Andrzeja Gordona, składającej się z prac artysty zawierających osobiste notatki i dedykacje, a udostępnionych na czas ekspozycji z prywatnych kolekcji: **ANDRZEJ GORDON – „RYSUNKI, ZAPISKI I DEDYKACJE”**.

*



Andrzej Gordon urodził się 15 grudnia 1945 r. w Bydgoszczy. W latach 1959-1964 uczęszczał do tamtejszego Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. W 1964 r. rozpoczął studia na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Od trzeciego roku do końca studiów otrzymywał stypendium artystyczne fundowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. W 1970 r. ukończył studia, uzyskując

dypłom z wyróżnieniem z malarstwa w pracowni prof. J. Studnickiego oraz specjalizację w zakresie grafiki w pracowni prof. A. Rudzińskiego. Po studiach Andrzej Gordon osiedlił się w Gorzowie Wlkp., gdzie żył i tworzył do śmierci (30 września 1992 r.). Gordon w latach 70. i 80. był najaktywniejszym twórcą w środowisku gorzowskich plastyków. Oprócz malarstwa sztalugowego zajmował się grafiką, projektował exlibrisy, plakaty, programy teatralne i wykonywał ilustracje do wielu wydawnictw regionalnych. Swoje prace prezentował na 27 wystawach indywidualnych, uczestniczył też w wielu wystawach zbiorowych, m.in.: w latach 1972-1992 we wszystkich *Salonach Jesiennych* w Gorzowie Wlkp. i Zielonej Górze; *Złote Grono* – Zielona Góra (1973, 1977); *Festiwal Malarstwa Współczesnego* – Szczecin (1975); *XVII Salon International Paris-Sud* (1976); *Ogólnopolski Konkurs Malarstwa im. J. Spychalskiego* – Poznań (1977); *V Ogólnopolska Wystawa Młodych im. W. Cwenarskiego* – Wrocław (1980); *Biennale Sztuki Sakralnej* – Gorzów Wlkp. (1984, 1986, 1990, 1992).

Gordon był laureatem kilku ogólnopolskich konkursów plastycznych. W 1969 r. zdobył II nagrodę w konkursie *Sztuka Książki Dziecięcej* w Warszawie, w 1970 r. Nagrodę im. F. Bartosza i H. Bobowskiego za najlepszy dyplom w warszawskiej ASP, a w 1976 r. wyróżnienie w konkursie *Sport w sztuce* w Katowicach. W latach 1972, 1977 i 1978 otrzymał medale za malarstwo i grafikę na *Salonach Jesiennych* w Zielonej Górze.

*

Andrzej Gordon pozostawił po sobie ponad 1000 obrazów olejnych, rysunków, pasteli i grafik, które znajdują się w zbiorach muzealnych i kolekcjach prywatnych w Polsce i za granicą. Najbardziej reprezentatywny zestaw płócien artysty posiada Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Pokazne kolekcje prac na papierze znajdują się w zielonogórskiej Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej oraz Bibliotece Uniwersytetu Zielonogórskiego. W Gorzowie Wlkp. niewielkie zbiory posiadają Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, Miejski Ośrodek Sztuki, Urząd Miasta i kilka innych instytucji.

*

Andrzej Gordon był nie tylko najaktywniejszą, ale i najbarwniejszą postacią środowiska. Jego legenda trwa w Gorzowie do dzisiaj. Uchodził za malarza aktów, chociaż wykonywał również martwe natury, pejzaże miejskie i ilustracje do utworów literackich. Był miłośnikiem kobiet, zakrapianych biesiad i doborowego towarzystwa, najczęściej związanego ze sztuką. Był artystą bardzo płodnym, może dlatego, że podczas pracy nie przeszkadzała mu obecność ludzi. Wydaje mi się, że dyskutujący wieczorami w jego pracowni koledzy działali na niego inspirująco. Artysta nie mógł usiedzieć bezczynnie. Zawieszał blejtram na specjalnie wbitych w ścianę gwoździach, ponieważ nie malował na sztalugach, rozrabiał farby na rogu blatu stojącego nieopodal biurka i nie przejmując się licznym niekiedy towarzystwem, oddawał się tworzeniu.



Projekty graficzne:

Andrzej Gordon chętnie i udanie opracowywał graficznie książki i exlibrisy. Za najciekawsze uznaje się graficzne opracowanie książki *Trafunek nieszczęśliwy* Herakliusza Lubomirskiego, wydanej przez Pracownię Sztuk Plastycznych i Bibliotekę Główną Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze (brak roku wydania).

Inne tego typu prace to:

1977 – rysunki do tomu wierszy *Relief z betonu* Zdzisława Morawskiego, Zielona Góra

1978 – teka grafik *Gorzów w grafice Andrzeja Gordona*, wyd. Wojewódzki Dom Kultury, Gorzów Wlkp.

1983 – teka grafik gorzowskich wydana w Berlinie Zachodnim.

1986 – teka grafik do tomiku Papuszy *Pieśni mówione*, wyd. Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Gorzów Wlkp.

Teka grafik Zielonej Góry.

Za dyrekcji Bohdana Mikucia (1978-84) opracowywał graficznie programy do przedstawień i plakaty.

Był autorem tzw. główki i koncepcji graficznej tygodnika *Ziemia Gorzowska*, który w tej typografii ukazywał się od 1980 do 2005 r.

RENATA PALIGA

* * *

jest taki sen
w przestrzeni wiem – nie – wiem
istnieję – nie – istnieję

gdy oddech odmierza noc
zamyka bramy rozumu
jego pojęć i percepcji

jest taki sen
wytwór płataniny neuronów
do pajęczej sieci podobnej

gdy zabraknie nocy
by wyśnić świat do końca
i ujrzyć przeznaczenie

co rano
upajam się niepamiętaniem
zanurzając zapach snu w filizance

* * *

winogrona
zdziaczały bez moich słów
bez poranków
przytulonych do przestrzeni
minęło lato
a ja nawet listów
donikąd nie wysłałam
jak zwykle

nie posmaruję nimi ust
na pokuszenie

mam dzisiaj w dłoniach
kwaśne winogrona

* * *

uwielbiam włosy rozczochrane
i dwie różne skarpetki
świergot ptaków w głowie
zapach ziemi zapraszający
do spoczynku
nieba zmieniającą się przestrzeń

uwielbiam rozwiązane
sznurowadła

lub całkiem bose
życia smakowanie

* * *

niewypowiedziane słowa
zaciśnięły krtań
mamiły
tęskniły

zamiast rozsypać się i odrodzić
po burzy

niewypowiedziane słowa
powoli nas
spopielili

WŁADYSŁAW
ŁAZUKA

* * *

O czym chcesz mi powiedzieć
brzózko samosiejko
gdy w twoich gałązkach
zmierzch
a las w oddali
zasypał śnieg

smaga ciebie i mnie
ten sam mroźny wiatr

w drodze do domu

* * *

Szumiały drzew korony
las był jednym szumem
siedziałem na pniaku
przy ścieżce dzikich zwierząt
w stronie wodopoju

myślami byłem daleko stąd

czy sprawiał to wiatr
czy mógł
nie wiem

W drodze

Usiądźmy na pagórku
nad rzeką
podziwiamy piękno natury

dajmy stopom odpocząć
i słowom

w ciszy można usłyszeć
więcej

* * *

Zbyszkowi

Słyszę w wnętrzu lasu
szusowanie nart
na skłonach pagórków
osypywanie
śniegu

światło poręby i jeziora
w ciszy kotliny
kiedy przystajesz
na chwilę

w biegu
po promień słońca

w środku
zimy

AGNIESZKA MOROZ

Fanny przestaje być
zabawna

Fanny straciła zainteresowanie
spojrzenie ma jak uliczni mimowie
którzy nigdy jej nie rozśmieszali
i można by ją ubrać

w te olbrzymie buty

dać szczudła
pomalować twarz

Jako dziecko podbiegała
do kuglarskich kapeluszy
czytała wrzucić monetę

a figura zmieni położenie
Dziś jej położenia nie zmieniają
tysiące monet

stare dobre zdjęcia
ani odziedziczona po siostrze torebka
pełna martwych czekoladek

Fanny nie przegląda katalogu
z perfumami

Siedzi nad pasjansem
nie ruszając kart

Zamiast nich próbuje złożyć twarz
z kawałków brokatowego lusterka
które znalazła w kieszeni męża
tuż przed tym zanim
straciła zainteresowanie

Papier, nożyczki, kamień

Nie potrafisz określić kiedy
przestaliśmy rozmawiać
wykonujesz tylko gesty
jak postacie z antycznych waz

Wyciągam stare klisze
z podróży na pustynię Thar
owijają nas cieplej niż koc
gdy jedyne słońca są zamknięte
w puszcze brzoskwiń

Rano owiną nas rachunki
wystawią lby przez okna
w kopertach
Wytniesz jakiś numer
na tym się znasz
obetnę włosy jak kobiety
wierzące w nowy etap

Nie potrafię określić kiedy
przestaliśmy rozmawiać
może w dniu odkrycia
że Sfinks w Gizie nosi twoją twarz

Odjeżdżając nocnym pociągiem
będę myśleć o chłodzie jej kamienia

PEJZAŻE ROZUMNE czyli poeta z Tycjanem w tle

Przedstawiam czytelnikom „Pegaza Lubuskiego” próbkę twórczości Wojciecha Bartłomieja Zielińskiego. Debiutant pochodzi z Górnego Śląska. Jest doktorantem filozofii w Krakowie, zarazem studentem konserwatorstwa zabytków w krakowskiej ASP. Pewnie dlatego sztuka pisana Zielińskiego ma pogłębiony, rzecz można trójwymiarowy wymiar. Z premedytacją użyłem określenia „sztuka pisana”, gdyż poeta jest również artystą plastykiem, co ma wpływ na przenikliwość i sposób postrzegania zastanej rzeczywistości. Autor wykazuje się niebanalną zdolnością posługiwania się formą poetycką. Bezbłędnie wykorzystuje w swojej poezji doświadczenie artysty plastyka i racjonalność filozofa, co nadaje szczególny posmak jego utworom. Jak choćby w udanym komentarzu do „Ecce Homo” w wierszu „Do Tycjana”. Autor jest pełen nadziei na spotkanie z ponadczasowym geniuszem w odkrywanej idei, ale też na spotkanie tego, co nieprzemijające i ważne, tego, co stanowi największe bogactwo poszczególnych ludzkich istnień. Uzasadnia to historią zapoznanej wcześniej mądrości i do niej też się odnosi. Stąd częste przywoływanie doświadczeń intelektualnych antenatów filozofii. Nie przyjmuje postawy konfrontacyjnej w stosunku do odbiorcy. Raczej sine ire et scientia pragnie spotkania. W wierszu „Do Tycjana” czytamy:

*nasiąknięty atramentem papier
zwinie się w rulon i spotkamy się stojąc
na jego przeciwległych krawędziach*

[Do Tycjana]

Z kim? Paleta możliwości jest szeroka. Zieliński chce się po prostu spotkać z drugim bez narzucania mu wizji świata ani żadnej wizji. Chce spotkania z rozumującym człowiekiem, który gotów będzie na rozmowę o rzeczach ważnych. Taki jest ten liryk:

*Akademik. Malujący pejzaże
rozumne*

[Do przyjaciół]

Osobiście cieszy mnie ta fraza, gdyż akademicy rozumni, a na dodatek potrafiący „malować pejzaże”, są dzisiaj potrójnie potrzebni w kontekstach wszechobecnej tandety podszywającej się pod miano sztuki.

Wojciech Bartłomiej Zieliński, jako de facto początkujący poeta, ma przed sobą wiele pracy. Przed nim długa droga doskonalenia warsztatu. To wymaga pokory, to wymaga otwartego umysłu, umiejętności wsłuchiwania się, bacznej obserwacji i wielkiego formatu człowieczeństwa. Zadatki tych przymiotów u poety są widoczne, a to prowadzi na parnas. Zieliński uczynił pierwsze kroki. Znalazł się już na tej drodze.

Marek Grewling

Szkicowy autoportret

I.

kolega to nieznajomy płci męskiej
wyłowiony spośród reszty
wędką cech chyba znajomych

niczym portret holenderskiego dygnitarza
wśród innych obrazów niderlandzkich mistrzów
zastanawiasz się teraz czy pamiętasz autora
i czy ówczesna jego popularność
przyniosła mu wystarczające dochody
by mógł kupić pigmenty lepszej jakości
a te utarte z olejem lepiej mogły oddać

koloryt profilu

i dukty pędzla stać się spiżowe

jestem kawalkiem skóry napiętej na kości
znasz mój kolor oczu kształt nosa i zarost
który nobilituje mnie do bycia nim
natomiast wewnątrz pozwalające mi

mówić o sobie „ja”

jest dla ciebie jak podpis na odwrocie obrazu
kantowski noumen wittgesteinowskie milczenie

wewnętrzna przestrzeń w której próbujesz osadzić
duszę i cechy umożliwiające powiedzenie do mnie
ecce homo

i w momencie gdy założysz że moje oczy widzą ciebie
i nie uwikłany jestem w obcą tobie galaktykę sensów
konstrukcji gramatycznych które dystans

kilku kroków

mogłyby rozciągnąć na odległość przecinającą
wiele południków

powiesz do mnie: „kolego”

tak też się nazywa mój autoportret
zawieszony w galerii

II.

niepotrzebne mi lustro abym mógł oglądać siebie
– objawienie pojawiające się od czasu do czasu

nad umywalką

przy wtórze szumu wody do którego wyznajesz

akt wiary

nie jest mną którego widzę gdy gładzisz mnie ręką

po policzku

krzyczącego krwią pulsującą w skroni
jest obce wszystkim malarzom lekarzom

i antropologom

wyabstrahowany metodą Arystotelesa
przypominający szkice Kandinsky’ego
w zapisie binarnym chył się ku zeru
choć logicznie rzecz ujmując uznaję się za prawdę

Podróżnik

jestem w ruchu
 niczym rzeźba Berniniego
 ciężar korpusu wypełnionego
 treściami żołądkowymi
 powoli przenoszę
 z nogi opartej o chwilę była
 niknącą w niebycie
 pamięci empirysty
 na nogę w przód wystrzeloną
 niczym popperowska predykcja
 poszukująca nowej wiedzy o niewiedzy

jestem potomkiem Lota
 Sodoma wciąż płonie
 czuję jej żar na plecach
 i bryzę przyszłości na twarzy
 mam wszystkie potrzebne dokumenty
 by iść przed siebie

jestem Dasein
 jestem strzałą eleaty

Obszar niezamieszany

Nie tęskniłem. Odczuwałem pustkę,
 czyli nadmiar przestrzeni.

Jestem wdzięczny stolarzom,
 tapicerom, szwaczkom, ludziom wrażliwym
 na piękno, bo dzięki nim zapelniałem
 rosnące terytorium mej autarkii.

Dziękuję Proustowi, Joyce'owi,
 wydawcom opasłych ksiąg
 anatomii ilustrowanej, czterem ewangelistom
 i Heideggerowi za *sein zu Tode*.
 Wypełnili miejsca ziejące niezagospodarowaną bielą.

Nie tęskniłem. Umeblowałem pokój,
 czytałem i patrzyłem przez okno.

Do Tycjana

Gdy zobaczyłem twój obraz *Ecce Homo*
 postanowiłem napisać komentarz
 i wbrew mej wierze chrześcijańskiej
 w czas linearny poddałem się
 urokowi zabobonu roku Platońskiego
 który pozwolił mi mieć nadzieję
 że go przeczytasz

nasiąknięty atramentem papier
 zwinie się w rulon i spotkamy się stojąc
 na jego przeciwnych krawędziach

Szanowny Tizianie Vecelli – udało ci się
 to czego nie zdołali czterej ewangelści
 Ty zaś warstewką farby dobrze rozrobioną
 w dużej ilości spoiwa, która jest tak cienka
 a każde włókno płótna prezentuje swą indywidualność
 przedstawiłeś tajemnicę Boga-człowieka
 w dwóch wymiarach

i okrzyknąłeś go Homo
 odcinając się od duchowych dywagacji
 które obce były farbom, paletcie i pędzłom
 o twardym włosiu



liście rudzieją od krwi
 wrzesień porzuci koronę

babie lato naszych żył
 zostanie ścięte pierwszym mrozem

oddziały owadów i ludzi
 zejść do podziemi
 by w konspiracji doczekać wiosny

wśród rzędzących twierdz z trawy
 zostaną tylko partyzanci
 w swych żołędziowych zbrojach
 na kasztanowych koniach

i będą czekać
 na sygnał do ostatniej szarży
 by zginąć na chodniku
 pod lodem podkutym zimowym butem

Do przyjaciół

Czasem tak o sobie myślę:
 poeta, a nawet malarz!
 Wierny odtwórca syntezy myśli!
 Akademik. Malujący pejzaże
 rozumne.

A to wszystko ukryte
 pod litosferą skóry.
 Z łakami zarostu, jeziorkami oczu,
 wzgórkami zamyślenia,
 gęstymi lasami poszukiwań
 i polanami nadziei.

Kiedyś skorupa pęknie
 i osiadzie na dnie,
 a poeta wraz z malarzem
 trwać będą.

Kolory

Leżą truchła much
 w kolorze ziaren maku
 i okruszki chleba
 w kolorze zachodzącego słońca

nasze ciała
 prężą się w kolorze wosku
 chowają w środku
 duszę krwisto zabarwioną

wiedza stwierdza
 o złudności kolorów
 a wiara maluje
 landszafty

Najnowszej książki **Beaty Patrycji Klary** nie czyta się łatwo. Nie jest też łatwo o niej pisać. Tomik poezji opatrzony tytułem „**De-klaracje. Geny. Anty-geny. Memy**” ukazał się w tym roku w Sopocie, jako siedemdziesiąty ósmy tom serii wydawniczej Biblioteka „Toposu”. Inna recenzja tej książki zostanie wydrukowana w kolejnym numerze Lubuskiego Pisma Literacko-Kulturalnego „Pro Libris”, którego promocja niebawem.

Ale wróćmy do samych „De-klaracji”. Na pięćdziesięciu stronach znajdziemy trzydzieści wierszy. Beata Klary, podobnie jak w poprzednim tomie poezji, zastosowała długą frazę w utworach, dzięki czemu są one ułożone poziomo – nie tak jak w klasycznej książce. Choć wiersze nie są łatwe w odbiorze, sam ich układ jest przejrzysty, a konstrukcja wygląda na dobrze przemyślaną. Każda z części, a części mamy trzy, zawiera dziesięć utworów. Nie ma tu miejsca na przypadkowość, wszystko wygląda na zaplanowane od początku do końca. Długie wersy sprawiają, że książkę czyta się po trosze jak prozę, a nie zbiór wierszy. Autorka zabiera nas w podróż po świecie, którego bohaterem jest *Noworodek płci męskiej, urodzony cięciem cesarskim ze wskazaniem*.

Tak brzmi wers inicjujący część pierwszą, zatytułowaną „**Geny. Początek i koniec**”. I choć w dalszej części książki pojawiają się tu i ówdzie inne cechy owego bohatera, nie można nakreślić jego portretu, ani fizjonomii, ani charakteru. Autorka umieściła w tej części bardzo wiele terminów medycznych, a ściślej skaz genetycznych dosięgających coraz częściej dzieci opuszczające łona matek, wystawiając je na wielką próbę bezgranicznego kochania i opiekę często na całe życie. Ta hermetyczna terminologia miejscami zakłóca odbiór wierszy, ale nie burzy ich porządku. Sens tych utworów dociera do nas dopiero po przeczytaniu ich wszystkich. Czytając wybiórczo, nie będziemy zupełnie wiedzieć, o kim jest ta historia. Jak już wspomniałam wyżej, nie da się tego jednoznacznie określić, jesteśmy pewni tylko płci – z pierwszego wersu wynika, że mowa o chłopcu. Najbardziej wyraźnym uczuciem, które towarzyszyło mi przy czytaniu tych wierszy, był niepokój, a to, co najbardziej rzucało się w oczy, to przede wszystkim niezwykle sugestywny opis ułomności istoty, która mimo że *uwielbia się śmiać i bajek słucha chętnie*, pozostaje w jakiś sposób niedoskonała.

Druga część książki nosi tytuł „**Anty-geny. Lalki reborn**”. I w istocie mowa w niej o lalkach. Zawarte w niej utwory opisują owe lalki, z jednej strony podkreślając ich sztuczność, z drugiej – traktowanie ich, jak gdyby były żywymi istotami. One są ZAMIAST! Dla kobiet, które nie mają dzieci. Pierwsza fraza wiersza ot-

ANTY-GENY. LALKI REBORN.

Musimy nauczyć się żyć w innych ludziach, jakkolwiek nieprzyjemne byłyby ich zimne, pokawalkowane sprawozdania z nas: one nas stwarzają.

[John Ashbery]

1. *Lalka płci żeńskiej, wykonana ręcznie z delikatnego materiału.*

Jej stwórcą jest tylko kobieta. Była policjantka, która teraz powołuje do życia plastikowe dzieci i oddaje do adopcji. Proces stworzenia trwa nawet kilka tygodni. Wszystko wymaga precyzji i czasu.

Do złudzenia przypomina niemowlę. Rysy dziadka, z pochodzenia Włocha, i babki, rasowej Niemki. Wygląd zawsze dziedziczy się w trzecim pokoleniu. Ma włosy, przebarwienia na skórze, żyłki. Rozkoszne waleczki. Oczy niebieskie jak na ostatniej fotografii.

Oddycha, płacze po nocach, gdy jakiś cień zatańczy na ścianie. Nawet ślini się, bo nie lubi smoczka. Pampersy ma pełne moczu, równo co sześć godzin. To wcale rodziców dużo nie kosztuje. Nie trzeba przewijać na zapas. *Wmontowano specjalny mechanizm.*

2. *Możliwe zachowanie wady genetycznej. Szczegóły zamówienia do ustalenia. Gramatura zależna od dni płodowych. W dwudziestym tygodniu zazwyczaj 500 gramów. Wielkość odpowiednia. Wykonam wszystkie mankamenty urody według zdjęcia, również braki ciała.*

Na aukcjach internetowych lalki schodzą bardzo szybko. Licytacje są popularne, jak te o drogocenne kamienie czy inne błyskotki. Zamawiają singielki. Kobiety biznesu, które nie mają czasu na dzieci. Matki oplakujące poronienia lub tęskniące za wnukami babki.

Do sprzedania mam swoje maleńkie, przedwczesnie urodzone bliźnięta. Jeśli jesteś zainteresowany kupnem tych dzieci, proszę o kontakt. Cena za dwójkę wynosi 600 funtów plus opłata pocztowa.

3. *Masa urodzeniowa 2530 gramów. Przyszła na świat jedenastego lutego 2005 roku. Ciało ma z wybarwionego jasnego winylu. Włosy z delikatnego moheru. Szklane oczy bardzo dobrze udają prawdziwe. Jest niemowlęciem, które pojawiło się na świecie dzięki swojej pierwszej matce – artystce.*

Adopcja przebiegła szybko. Przelew na konto. Prawie trzy moje pensje, ale czego nie robi się dla dziecka. Kiedy przyciskam jej klatkę, to przez nos wydobywa się powietrze. (To jest jak zdumienie na widok drzewa wydartego z korzeniami). Jej serce bije rytmicznie. W cenie wyprawka: pieluchy, koc, maskotki, opaska z datą urodzenia i certyfikat ważności. *Pępowina gratis.*

4. *Numer zamówienia: 654/2011. Nigdy nie urośnie, nie odejdzie na własnych nogach. Ma urządzony wygodny pokój. Duży wózek i wygodny fotelik samochodowy. Na spacer zawsze wyprowadzam ją po powrocie z pracy. (Kiedy zanurzasz szklankę, woda nabiera kształtu. Asfodele karmią umarłych. Próżnia się wypełnia.)*

Lubię dumnie paradować po ulicach jak matka. Jeśli ktoś zajrzy do dziecka, to zaraz gratuluje mi jego urody. Mówi, że jest śliczne. Odpowiadam, że to istny aniołek. Owszem, w nocy trochę płacze, ale zawsze o tej samej godzinie i zdążyłam się już przyzwyczaić.

Głowa musi być podtrzymywana jak u żywego niemowlęcia trzymanego na ręku. Rozpoznanie: *Zaspokoić instynkt macierzyński nie jest łatwo.*

5. Lalki bywają nieudane z różnych powodów. Czasem za mało przypominają zleceniodawców. Najczęściej są zbyt sztuczne i zimne.

Można je reklamować. Gwarantowany zwrot pieniędzy lub poprawki. Wszystko po to, by klientka mogła zawsze czuć się jak młoda matka.

Jeszcze żywa dziewczynka leży w żelaznej nerce w oczekiwaniu na ostatni oddech. Nie chcą pokazać jej rodzonej. Nie dają przytulić. Położna mówi o tym: *wyskrobiny*. Dziwi się, że po wszystkich rodzice chcą zabrać *materiał* do domu. Zwariowali chyba. Przecież to nic. *Wcześniaki przed 26 tygodniem życia nie są ratowane. Nie udały się.*

6. *Dziecko urodziło się w piątym miesiącu. Nie pozwolono pochować go na cmentarzu, bo ksiądz uznał, że nie było człowiekiem. Kupiła szkatułkę, taką na biżuterię. Ubrała syna i zakopła w grobie przy jego babce. Ma teraz opiekę. Przodkowie przychodzą nocami.*

Proszą w jego imieniu. Przerywa sen. Zapala świeczkę i czyta wiersze. Ciekawe, co powiedziałby o tym Rilke. Ten od płaczek wyrrywających sobie włosy w pochodzie za zmarłymi. Znał. W końcu zamawia reborna. Po wyjęciu z paczki zaraz go przytula. Znów może wypełnić puste ramiona.

Produkuje się również wcześniaki, dostarczane w komplecie z inkubatorem i kropłówkami. To drogi sprzęt. Ratuje życie.

7. *Artysta plastik wykona odlew brzucha w ciąży. Dziecko w środku. Dołączone zdjęcie USG. Pamięta, jak zatrzymano w kadrze twarz jej syna. Jeszcze niedojrzała, bo nie był właściwy czas. Ma je zawsze przy sobie. Ale teraz coraz więcej jest dni, kiedy nie otwiera koperty, do której schowała zdjęcie. Przeboleła.*

Tak jak pani od lalek. Ona bardzo nie lubi momentu wbijania dużej igły w małą głowę, by zamocować włosy. *Lalka już prawie przypomina dziecko, więc martwi się, czy jej to nie boli.* Dzieło doskonale nie cierpi z powodu kolek, ząbkowania.

Poza jednym. Nie umie wciąż ssać piersi. A przecież jest takie ważne. Trzeba i z tym coś zrobić. Dopracować szczegóły technologii.

8. W filmie *Prawie jak żywe – My fake baby* można zobaczyć kobiety, dla których lalki są sensem życia. Nikt nie dal im wcześniej takiego zadowolenia. Gdyby żyły w średniowieczu, musiałyby się ukrywać, bo spalono by je na stosie. Tulenie lalek to rytuał białych czarownic.

W święta przed muzeum ustawia się kolejka. Sięga aż na ulicę. Nie tylko turyści i goście. Większość stanowią tutejsze kobiety. Wiele spośród nich przychodzi wielokrotnie, by być bliżej prawdziwego piękna. Zebrane reborny są jak hostia w świątyni.

Modlą się do nich. Do twarzy przypominających dzieci noszone w łonach. Teraz łona są puste i wózki też. Zostały tylko *odrodzone*.

9. *Ona leży otulona w swoim koszyku przy moim komputerze (żeby mogła sprawdzić, czy płacze). Dziękuję bardzo za zrobienie takiej dziewczynki. Kto nie przedłuży linii ojca, kreski matki, ten oszukuje siebie, jak może. Jej dziecko wsadzili w szpitalu do worka i wyrzucili do śmieci. Poszło do spalania.*

W świetle dokumentu *Nadzieja zbawienia dla dzieci umierających bez chrztu*, który uznał papież Benedykt XVI, jest nadzieja, że *dzieci zmarłe przed ochrzczeniem doznają zbawienia i błogosławionego szczęścia*. Tego się trzyma.

10. *Artystka wykonująca lalkę nazywana jest – matką, dzień skończenia dzieła – dniem narodzin, miejsce produkcji – żłobkiem, zakup – adopcją.* No comment.

wierającego ten fragment tomiku jest analogiczna do tej z części pierwszej: *Lalka płci żeńskiej, wykonana ręcznie z delikatnego materiału*. Znajdziemy tu nieco makabryczny obraz, opisywany jest zarówno proces tworzenia rebornów, jak i powody ich zamawiania. Z tych utworów dowiadujemy się, że owe lalki cieszą się uznaniem wśród kobiet, którym biologia, często także życie zawodowe, nie pozwala na posiadanie dzieci, babć tęskniących za wnukami czy też kobiet, które z różnych powodów utraciły własne dzieci. Nie brakuje tutaj opisów wychodzenia na spacer, zmieniania pieluch i w ogóle traktowania ich jak gdyby były prawdziwymi dziećmi, z zastrzeżeniem, że jednak żywe nie są i zostały zrobione na zamówienie.

Część trzecia i ostatnia to „*Memy. Otwarcie*”. Zawarte tutaj wiersze różnią się nieco od pozostałych, jednak w obrębie tego fragmentu stanowią swoistą całość. Można odnieść wrażenie, jak gdyby były zbiorem wspomnień albo opisem emocji, jednak nigdy o tych emocjach nie mówi się wprost. Niektóre utwory są pisane w pierwszej osobie, czasem podmiotem lirycznym jest mężczyzna. Kilka z nich mówi o śmierci. I wydawać by się mogło, że wkradła się tam nutka optymizmu, jak choćby we fragmencie: *Jest tyle końców świata, ile drobnych śmierci, / a każda ciemność to zapowiedź światła*. Jednak tych utworów nie da się przyjmować z uśmiechem, czy choćby bez niepokoju. Jest w nich coś takiego, co nie pozwala na czytanie ich dla relaksu, a jednocześnie każe skończyć lekturę dopiero na ostatnim wersie. Beata Patrycja Klary posiada niebywałą umiejętność, która pozwala jej przy pomocy pozornie chłodnego i obiektywnego tonu wzbudzić w czytelniku – a przynajmniej we mnie – bardzo silne emocje.

Każdy kolejny tom wierszy tej autorki jest dojrzalszy, bardziej dopracowany, po prostu lepszy. Jestem bardzo ciekawa, na jakim koncepcie ta jakże sprawna warsztatowo poetka oprze następne swoje utwory. Póki co pozostaje mi rozmyślanie nad „De-klaracjami”. Nad tym, jakie kody wywiedzione z osobistych doświadczeń poetki i matki, niosą do czytelników.

Kinga Mazur

Beata P. Klary. *De-klaracje. Geny. Anty-geny. Memy*. Wyd. Tow. Przyjaciół Sopotu. Seria Biblioteki „Toposu”, t. 78. Sopot 2012, s. 50

Kinga Mazur – debiutowała i publikuje w gorzowskim czasopiśmie literackim „*Pegaz Lubuski*”, a także w zielonogórskim „*Pro Libris*”. Poetka., autorka tomiku poetyckiego „*Już wiem*”. Studiuję dwa kierunki humanistyczne na UZ.

* * *

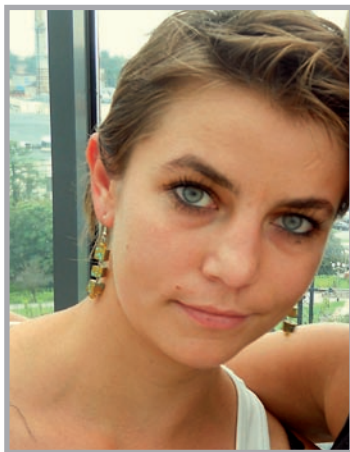
Na imię mi Ancilla
mam lat
nieco ponad dwadzieścia
a nieco mniej niż dwadzieścia jeden
nałogowo palę przed snem
i żyję przeszłościami
nie zawsze swoimi
chciałabym mieć balkon
jak te panie z książek
ale nigdy mi się to nie udało
lubię upajać się ciszą
ostatnio odkryłam taką
czterdziestoprocentową
i o posmaku miodu
na razie taka cisza
w zupełności zagłusza
wyrzuty sumienia
nad kolejnym złamanym życiem
i pozwala wierzyć
że kiedyś będę mieć balkon

* * *

U spowiedzi ostatnio byłam
chyba w poprzednim życiu
w międzyczasie
zdeptałam kilka dekalogów
i morzem kolorowych wódek
przechrzciłam się na pseudoateizm
czciłam ludzi o czekoladowych oczach
i zadbanych dłoniach
a kościół
był w każdym obcym domu
dziś wracam
bynajmniej nieskruszona
z Bogiem pertraktuję
na swoich warunkach
na razie jest nieugięty
i mści się
za każdy opluty komunikant
pewnie boi się o statystyki
ale skoro brakuje mu aniołów
to dlaczego podcina mi skrzydła
chodzi mi tylko o spokój
jeśli Stwórca nie ustąpi
pozostanie mi
stać na końcu w kolejce do zbawienia
i ślubuję przepuścić każdego
kto mnie o to poprosi
– tylko nie podejrzejcie mnie o
miłosierdzie

* * *

Czekałem sześć lat
w myślach malowałem ci rzęsy
bywało, że poranki
patrzyły na mnie
twoimi szarymi oczami
ale zrozum
to głupie
w tym wieku ciągle wierzyć
w spadające gwiazdy
i to prawda
chciałem ciebie uśmiechniętej
ale chyba nie tak szeroko



Spomiedzy

Kocham niepoznane
wkuwam na pamięć
rysunek twoich ust
teorię pocałunków
zamieram w zachwycie
nad delikatnością
opuszek palców
i ciągle od nowa uczę się dodawać
błękit oczu
do zakazanych chwil i słów
skradzionych spomiedzy
trzeciej i piątej lekcji

* * *

Zaufaj mi aż do krwi
i tą krwią
wypisz na ścianie swoje imię
– muszę wiedzieć, że jesteś
jeśli twoja miłość
ma ostre krawędzie
wbij mi je w serce
jeśli będę spadać
nigdy nie puszczaj mojej ręki
nawet gdybyś miał
połamać mi palce

* * *

Jeśli chodzi o warkocze
to wolę dwa
jeśli ogólnie o włosy
to w ogóle rozpuszczone
lubię kiedy
patrzysz mi w oczy
z perspektywy moich kolan
a kiedy wyciągasz rękę
wiem
że czasem dotykasz nieba

wtenczas...

nie pozwoliłam tobie odejść
na samotność się nie godziłam

nie zapytałeś mnie
tamtego ranka
czy mam tyle lez
które zmyją twój obraz

zostawiłeś
pytania bez odpowiedzi
noce bez snu
ranki bez nadziei

nie godziłam się
na cichą ucieczkę
angielskie wyjście
bez skrzypnięcia drzwi
tylko firanka uniesiona delikatnie
zdradziła ptaka
który wieczorem stuknął dziobem
w szybę
rozpostartym skrzydłem
zapraszał do innego świata

tamtej nocy
trzymając straż na parapecie
zabrał ciebie

zwiodła cię jego tajemnica
skusił cię obietnicą wieczności
dałeś się uprowadzić

naiwny

poszedłeś bez skargi
choć życie było
w pełnym pędzie
kluczyło meandrami zdarzeń
które nadawały twemu czasowi
sens

tamtego ranka
nie widziałeś mojej twarzy
oczu zdziwionych
pustych rąk
i pękniętego serca

nie oczekuj
wybaczenia
pozwól zapomnieć
i
żyć

Krystyna Kamińska Skazana na codzienność

Chyba jest coś w aurze Barlinka, że powstają tam ciekawe książki. W Barlinku mieszkał znakomity pisarz Bronisław Słomka, przez wiele lat redaktor naczelny „Ziemi Gorzowskiej”. Dla niego Barlinek zawsze był najważniejszym poligonem obserwacji ludzi i spraw. Bohaterami wszystkich jego książek są mieszkańcy miasteczek takich jak Barlinek, których przenosi do rzeczywistości wręcz magicznej, często zyskując przy tym wymiar universum. Szkoda, że po jego śmierci nie została wydana ostatnia, kapitalna książka pod tytułem „Przebierańcy”. Z Barlinkiem licznymi więzami związana jest Romana Kaszczyk, przede wszystkim plastyczka, ale także autorka urokliwych legend i baśni mocno osadzonych w realiach przyrody i historii tego miasta, a także wierszy i tekstów piosenek. Niedawno ujawniła się Eliza Chojnacka, autorka powieści „Nieporządna?”, wiersze dla dzieci, czasem także dla dorosłych, pisze Jolanta Karasińska. Jestem przekonana, że to nie koniec listy osób z Barlinka zajmujących się literaturą, ale ostatnio na czoło nowych wysuwa się Iwona Małgorzata Żytkowiak. W ubiegłym roku wydała pierwszą powieść pod tytułem „**Tonia**” (pisał o niej w 3. numerze „Pegaza” z 2011 r.), niedawno ukazała się druga – „**Spotkania przy lustrze**”, a że autorka ma już gotowe następne, pewnie niebawem będziemy mogli je poznać. Bohaterki książek Iwony Małgorzaty Żytkowiak też mieszkają w małym mieście, jakby w Barlinku, ale nie ma tam ani tej nazwy, ani innych form identyfikacji miejsca akcji. Swoją wiedzę o świecie, a przede wszystkim o kobietach, autorka bez wątpienia czerpie ze znanego jej otoczenia, ale diagnozę przenosi w szerszy wymiar, nadając losom swoich bohaterek wymiar uniwersalny.

Główna bohaterka „Spotkań przy lustrze”, Łucja, jest taka sama jak tysiące kobiet w Polsce: ma dwoje dorosłych dzieci, niezłe małżeństwo, ustabilizowaną sytuację materialną i codzienność, która daje jej poczucie bezpieczeństwa. Ale nagle umiera jej mąż i burzy się cały ten porządek rzeczy. Łucja siada przed lustrem, patrzy w swoje zmęczone oczy i nie umie sama wykonać choćby jednego kroku w samodzielne życie. W powieści „Spotkania przy lustrze” nie ma akcji. Są wspomnienia, przez które poznajemy całe życie Łucji i jej rodziny, ale nieuporządkowane chronologicznie, jakby powyrywane z różnych etapów życia bohaterki. A mimo to otrzymujemy pogłębiony portret psychologiczny współczesnej kobiety. Z jednej strony rzeczowej, spokojnej, poukładanej, a z drugiej zbyt słabej, aby wrócić do życia po ciosie, jakim dla niej była śmierć męża. Poznajmy Łucję, gdy minęły już trzy lata jej życia ograniczonego do rozmów z sobą przy lustrze i ewentualnie kieliszka czerwonego wina. Tu już nie chodzi tylko o żal po mężu. Łucja nie widzi sensu swojego życia. Wiele osób stara się pomóc powieściowej Łucji: ma wnuki od syna, ma córkę spodziewającą się

dziecka, ma teściów, którym ona pomaga jak może, ma nawet kota wymagającego jej codziennej troski. A przecież nic nie jest w stanie wyrwać jej z marazmu, który tylko wzmacnia jej wyobcowanie. Ona też ma coraz silniejszą świadomość, że sama niszczy swoje życie, próbuje podjąć pewne kroki,

ale są one tak niewielkie albo tak w sumie nieznaczające, że nie wpływają na istotną zmianę.

Czy taka postawa jest możliwa w świecie, w którym kobiety tworzą swoje Kongresy, gdy zdobywają parytety w polityce i gospodarce gwarantujące im akceptację na wysokich stanowiskach, gdy w niemal każdej wsi są inicjatorkami i organizatorkami nie tylko lokalnych zdarzeń? Małgorzata Żytkowiak twierdzi, że ciągle obok nas są kobiety, którym w dzieciństwie nie dano miłości (jak Łucji), dla której małżeństwo było naturalnym krokiem po dziewczęcym zauroczeniu chłopakiem, ale bez wielkiej miłości (jak Łucja), które nie potrafią z mężem i z dziećmi rozmawiać o sprawach

ważnych, na przykład swoich uczuciach (jak Łucja). Czy tak ograbiona psychicznie kobieta może dostrzec piękno i urok życia? W końcu powieści mamy delikatne symptomy zmian: będący w podobnej sytuacji, choć znacznie od Łucji starszy znajomy z cmentarza już zdołał się wydzwignąć, choć jemu na pewno było trudnej, już Łucja cieszy się na wiadomość, że jej córka właśnie urodziła swoją córkę, już podoba jej się Majorka, choć gdy tam była po raz pierwszy z mężem, wszystko ich mierziło. Podczas spotkania w klubie „Lamus” Małgorzata Żytkowiak powiedziała, że świadomie odrzuciła udział uczucia do mężczyzny jako inspirację do życia. Bo – jej zdaniem – takie fabularne rozwiązanie byłoby pójściem na literacką łatwiznę, a z drugiej strony kobieta dojrzała jak Łucja nie tak łatwo poddaje się chwilowemu zauroczeniu mężczyzną. Autorka ma nadzieję, że jej Łucja ruszy się sprzed lustra, by zobaczyć piękny świat. W scenie końcowej Łucja zmienia meble w swoim domu, ale wśród kupionych rzeczy jest... nowe lustro.

Iwona Małgorzata Żytkowiak wysoko postawiła sobie literacką poprzeczkę. Tematem głównym powieści uczyniła pustkę, a o tym, czego nie ma, pisze się najtrudniej. W czasach, gdy wszystkie media kreują kobiety samodzielne i zaradne, ona pokazuje kobietę słabą, niezdolną do przebijania się przez życie, poddającą się utartym wzorcom kobiecego życia, roli, jaką dała jej biologia i obyczajowość, bez próby podjęcia jakiegokolwiek zmiany. Bo choć najczęściej czytamy o pięknych i młodych celebrytkach, musimy pamiętać, że w małych miastach – i nie tylko – najwięcej jest kobiet skazanych na codzienność, żyjących według utartych wzorców i nieradzących sobie, gdy coś (tu śmierć męża) ten wzorec złamie.

Gratuluje Małgorzacie Żytkowiak drugiej dobrej książki, choć zastanawiam się, czy ją Państwu polecać, bo tyle smutku niesie. Zapewniam jednak, że ci, którzy cenią sobie wartości literackie, na pewno się nie zawiodą.

Iwona Małgorzata Żytkowiak, *Spotkania przy lustrze*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2012, s.228



Krystyna Kamińska

Misja poety

Maria Borch jest z wykształcenia polonistką, z zawodu pedagogiem, z duszy osobą wrażliwą społecznie. Wiersze pisze od wielu lat. Wydała pięć tomów poezji. Jako pierwsze – „*Tęczową zabawę*” (2007), „*Najeżoną oczywistość*” (2009) i „*Gałązkę jaśminu*” (2010), ale dopiero w najnowszych – „*Bidul*” (2011) i „*Z kałuży miasta*” (2012) – wyraźnie wyklarowała własny ton.

Już we wcześniejszych tomikach znajdowały się wiersze o dzieciach, ale dopiero w „*Bidulu*” autorka zebrała je w cykl, wiele dopisała, przez co uzyskała przejmującą ich wymowę. Jak wiadomo „*bidul*” to żargonowa, nieoficjalna, ale jakże smutna nazwa domu dziecka. Wiersze Marii Borch to jakby interwencyjne reportaże o ludziach potrzebujących pomocy. Opisuując historie dzieci niekochanych, Maria Borch jest oszczędna w słowach, a przecież wiersze te trafiają do serca odbiorcy, każą zastanowić się nad problemem społecznym, który w miarę naszego bogacenia się wcale nie maleje. Wręcz odwrotnie: rośnie liczba dzieci porzucanych przez rodziców, oddawanych do biduli, dzieci smutnych, niekochanych. Maria Borch tylko szkicuje problem, pokazuje jego humanistyczne oblicze. Spośród wielu ziemskich spraw wydobywa jej najbliższą. O tomiku tym pisaliśmy szerzej w „*Pegazie*” w ub. roku.

W najnowszym tomiku pt. „*Z kałuży miasta*” Maria Borch rozszerza obserwację na świat dorosłych. Otwiera go cykl wierszy o „*Bandytach*”. Oto dwa pierwsze wiersze z tego tomiku:

- | | |
|---------------------------|---|
| 1. | 2. |
| <i>sprywatyzował</i> | <i>by nie narazić życiowej stopy</i> |
| <i>jej konto</i> | <i>kroczyś wpatrzony w ziemię (...)</i> |
| <i>ubiór</i> | |
| <i>kosmetyki</i> | <i>w dal nie spoglądasz</i> |
| <i>seks</i> | <i>jest zbyt odległa</i> |
| <i>dach nad głową</i> | |
| <i>światopogląd (...)</i> | <i>nad tobą niebo</i> |
| <i>ona już nie</i> | <i>widzisz go tyle ile</i> |
| <i>należy do siebie</i> | <i>odbija się w kałuży miasta.</i> |
| <i>choć wcale</i> | |
| <i>o tym nie wie</i> | |

Bandyta z pierwszego wiersza Marii Borch ograbia najbliższą sobie osobę nie tylko z jej pieniędzy i innych dóbr materialnych, ale nawet z poglądów, z myślenia, a jego ofiara nawet nie wie, że jest pokrzywdzona. Bandyta z drugiego wiersza metaforyczną broń obraca przeciwko sobie: to on własnymi decyzjami ogranicza swoje horyzonty, mami go uluda jakiejś stopy życiowej, która zabija myślenie i czucie. Jego świat sprowadza się do tego, co widzi w odpryskach rzeczywistości, którą autorka nazwała kałużą miasta. Bandytami z kolejnych wierszy Marii Borch są ci, którzy przedkładają rzeczy nad uczucia, nie uznają partnerstwa w relacjach z innymi ludźmi, którzy nie odwzajemniają miłości, którzy terroryzują swoimi przekonaniami, i tak dalej, i tak dalej.

A przecież nie są to jednostkowe przewinienia, za które sprawcy, jak bandyci, winni odbyć karę w więzieniu. Wszyscy żyjemy w świecie, w którym egoizm jest ważniejszy od altruizmu, w którym to, co się ma, liczy się bardziej niż na przykład wrażliwość. Czy jesteśmy bandytami? Wszystkie wiersze Marii Borch są prześnięte troską o współczesnego człowieka, który odchodzi od



elementarnych norm współzycia i zatracą poczucie człowieczeństwa. Znany krytyk Leszek Żuliński napisał w posłowniu: *Ten tomik to larum, to głos protestu przeciwko degradacji duchowej, jakiej poddajemy się z własnego wyboru. Jego siłą jest nie tylko celna diagnoza i egzemplifikacja pobłądzeń, lecz chyba przede wszystkim prostota. To wiersze do bólu ascetyczne, oszczędne w słowach, proste w argumentacji, lecz właśnie w swojej ascezie tym bardziej przekonujące i mocne.*

Drugiej części tego tomu Maria Borch dała tytuł „*Z głębi kryształu*”, sugerując opozycję do „*Kałuży*” oraz drogę, jaką należy przejść, by wrócić do wartości najważniejszych. Sama jest osobą głęboko wierzącą, więc jej zdaniem gwarancję równowagi daje wiara w Boga. Ale nie wszyscy łatwo zaakceptują to rozwiązanie, bo nawet Boga skłonni jesteśmy traktować jak kogoś, kogo można poklepać po ramieniu, oswoić.

Zdaniem Marii Borch trzeba się zdobyć na świadome odrzucenie atrakcyjności życia, by dotrzeć do Boga. Jak w wierszu „*Refleksja*”:

*Rezygnacja nie uwalnia od udręki
poszukujesz
seks pieniądze placebo
dopiero gdy rozum
pogasi pożary
usłyszysz pozorne milczenie Boga*

Bo – jak nas przekonuje Maria Borch – Bóg milczy tylko pozornie. Tak naprawdę on jest łatwo słyszalny, ale tylko wtedy, gdy chcemy go usłyszeć, gdy zdecydujemy się na zmianę mentalności, gdy w człowieku zobaczymy człowieka. Maria Borch nie narzuca swojej wiary i nie twierdzi, że jest to jedyna droga do naprawy świata. Ona ją sugeruje.

W polskiej literaturze mamy długą tradycję poetyckiej misji. Od Mickiewicza przez dziesiątki lat ta misja miała wymiar patriotyczny, gdy Polska nie istniała na mapie, a literatura stała się nośnikiem świadomości narodowej. Jeszcze wcześniej poezja wskazywała wartości ważne dla człowieka. U Kochanowskiego wyrastały one z renesansowego zachwyty dla życia i piękna, w Oświeceniu – z przekonania o mocy rozumu. W całej literaturze polskiej zawsze był obecny nurt religijny, ze wskazywaniem Boga jako podstawowej wartości w życiu człowieka. Dopiero w ostatnim okresie poezja przestała dawać wskazówki, a zajęła się opisywaniem świata i kondycji człowieka. Maria Borch także opisuje: a to los dziecka (jak w „*Bidulu*”), a to los dorosłego człowieka (jak w „*Z kałuży miasta*”), konstatując, że tak żyć się nie da. Podstawowym jej celem jest uświadomienie człowiekowi jego kondycji, by sam wyciągnął wnioski. By się uleczyć, sugeruje drogę jej zdaniem najlepszą – przez Boga. Maria Borch – jak wielcy poeci – podjęła się misji ulepszenia człowieka. Robi to współczesnymi formami poezji: lakonicznie, choć mocno, wierszami krótkimi, ale sugestywnymi. Można się spierać z Marią Borch, czy prawdziwy jest pokazany przez nią świat pełen bandytów żyjących w kałużach, ale pasji we wskazywaniu zła odmówić jej nie można. I misji, aby ten świat poprawić.

Maria Borch, *Z kałuży miasta*, Toruń 2012,
wydawca: White Plum, s. 64

Leszek Żuliński

W roku 2011 Maria Borcz wydała tomik pt. *Bidul*. Był to monotematyczny cykl wierszy opowiadających o losach i traumach dzieci wychowywanych w domach opieki – wstrząsający obraz „dezintegracji negatywnej” młodych ludzi, pozbawionych ciepła rodzinnego. Ten nowy zbiór wierszy to poniekąd ciąg dalszy tej wrażliwości społecznej, którą Autorka „wyostrzyła” w sobie w sposób czuły, mądry i poruszający naszą empatyczną wyobraźnię. Oba te tomiki to swoiste memento, krzyk, bunt, protest – ważny głos roztropności i sumienia odnoszących się nie do własnego ego, lecz do naszej zbiorowej refleksji nad światem Zła, w jakim żyjemy.

Maria Borcz przenikliwie dostrzega wynaturzenia współczesności. Cały ten jazgot pozorów, dróg „na skróty”, powierzchowności istnienia, które coraz bardziej ze sfery duchowej i fundamentalnej aksjologii przemieszczają się w sferę „życia automatycznego”, bezrozumnego, ovladniętego dezorientującym szumem informacyjnym, tumultem konsumpcyjnym i zglobalizowanym systemem ersatzów, które tradycyjną „biocenozę humanistyczną” zamieniły nam powoli w zautomatyzowane i zreifikowane, ubezwłasnowolnione i powierzchowne wegetowanie.

Alienacja, spłaszczenie osobowości, zgłajszachtowanie wyborów, wynaturzenie celów i trywializacja ich osiągania... Społeczeństwo robotów i konsumentów, któremu może jeszcze bije serce, lecz które patrzeć w serce już nie potrafi, tak jak nie umie odróżniać złotych sensów od tombakowych podróbek.

Tomik *Z kałuży miasta* to jest larum; to głos protestu przeciw degradacji duchowej, jakiej poddajemy się z własnego wyboru. Jego siłą jest nie tylko celna diagnoza i egzemplifikacja pobłądzeń, lecz chyba przede wszystkim prostota. To wiersze do bólu ascetyczne, oszczędne w słowach, proste w argumentacji, lecz właśnie w swej epigramatycznej ascezie tym bardziej przekonujące i mocne. Niektóre z nich mają wyrazistą siłę postrzegania współczesnych manowców, inne – siłę przesłania, ale wszystkie są ostrzeżeniem, alarmem i głosem opamiętania. Autorka unika tonów moralizatorskich i dydaktycznych, raczej wnikliwie opisuje współczesność i jest tym bardziej przekonująca, im bardziej definiuje świat, a nie karci nas czy poucza. Choć – oczywiście karci i poucza – bo wymowa tego światooobrazu jest jednoznacznie krytyczna.

Stopniowo, a zwłaszcza w drugiej części tomu, wiersze odwołują się do etyki i metafizyki zawartej w mądrości mitów i ksiąg fundamentalnych. Maria Borcz jest mocno związana z religią i wiarą – te źródła wskazuje nam jako drogowskaz, w którym wciąż możemy szukać Prawdy i Sensu. To nadal nie jest moralizatorstwo, raczej wskazywanie substratów i fundamentów, w których symbolice kryje się sedno naszych wartości i wyborów, sedno, jakie w naszej epoce zaczęliśmy zdradzać w sposób szczególnie niepokojący, zamieniając samych siebie w społeczeństwa bezdusznych i omamionych tombakowymi cielcami konsumentów.

Bardzo ważny tomik! Bardzo piękny i bolesny! W zalewie poezji egocentrycznej głos opamiętania i lustro, w którym dojrzymy, w końcu – być może – dojrzymy straszne zmarszczki i liszaje współczesności...

MARIA
BORCZ

w pustynnym klimacie

gorąca miłość
stygnie szybko
pęka
jak skała rozsypuje się
lawiną kamieni

przemieniamy je
w powszedni chleb

Szpitale są sterylne

chorzy nie pasują do tego wizerunku
brudzą narzekają roznoszą bakterie

takich należy splawiać

ojomy karetkowe kursują
między Scyllą a Charybdą

wprawdzie są zakłady
w marmurach z wieńcami

tam można by lokować chorych

lecz brak instrukcji
jak przywoływać kostuchę

beton

ulice z betonu
domy z betonu
sumienia z betonu

szara masa
w zastylej formie
przytłacza ciężarem

drogowskaz

*Rutyna jest jak rdza
(Gabriel Garcia Márquez)*

zmieniają się ludzie
miejscowości
nazwy

lecz on stoi
w miejscu

skorodowaną wiedzę
wyprowadza w pole

Krystyna Kamińska

Jednotematyczny

Jerzy Gąsiorek, znany w Gorzowie przede wszystkim jako plastyk, twórca asamblaży, jest także cenionym poetą. Od 2001 roku, kiedy po raz pierwszy ujawnił swoje poetyckie zdolności, wydał siedem tomików podpisanych pseudonimem „Gąsior”. Wszystkie w jednakowej formie graficznej: z szarą okładką, bez żadnych ilustracji ani ozdób, druk prosty, wygląd wręcz ascetyczny, a w każdym tomiku około stu wierszy bez żadnego podziału na części lub rozdziały. W moich omówieniach nazywałam je kolejnymi odsłonami pamiętnika człowieka myślącego. Jerzy Gąsiorek w formie krótkich wierszy spisywał wrażenia dnia codziennego, wspomnienia, doznania z lektur, myśli o sztuce, zachwyt dla przyrody, refleksje o kondycji człowieka. Przyznam, miałam pretensje do autora, że miesza tematykę, że nie pozwala czytelnikowi skupić się na jednym problemie lub jednej sferze odczuć, by odebrać je w sposób bardziej pogłębiony.

Właśnie ukazał się ósmy tom wierszy Jerzego Gąsiorka, wydany przez gorzowską bibliotekę jakby na moje zamówienie – w zasadzie jednotematyczny.

Autor oraz redaktor w osobie Edwarda Jaworskiego – dyrektora naszej biblioteki – z siedmiu wcześniejszych tomików wybrali te, które dotyczą osadzenia współczesnego człowieka w naszym świecie. Ten „nasz świat” to nie tylko dzień dzisiejszy, ale także korzenie pokolenia autora. Jerzy Gąsiorek urodził się na południu Wielkopolski, we wsi Granowiec, która wtedy nazywała się po niemiecku Grandorf, choć jej mieszkańcy mówili po polsku i wyznawali katolicyzm. Po wojnie z rodziną zamieszkał w Sławnie, w mieście, z którego dopiero co wyszli Niemcy. Zarówno Polakom, jak i Niemcom po latach poeta zadedykował wiersz „Wypędzonym”:

Jak to możliwe / zmusić do podróży / w świata wszystkie strony / miliony / w upalny dzień / albo w mróz siarczasty / zostawić tak nagle / suszące się pranie / strawę warzoną na piecu / ulubione zabawki i wstążki / świętych na ścianie / zasiane pola rodzące jabłonie.

Teraz czytamy o tym co najwyżej ze zdziwieniem, a przecież to był tragiczny los milionów ludzi z wielu narodów. W wierszach Gąsiorka jeszcze raz wraca druga wojna z jej bestialstwem czynionym niewinnym ludziom, ale zdecydowana większość dotyczy bliższych nam zdarzeń i spraw. Znajdzie tu swój portret Polak ponad siły pracujący za granicą i jego syn, którego wychowuje ulica.

Najważniejszym jednak tematem dla Gąsiorka jest zło czynione człowiekowi przez człowieka, szczególnie podczas niekończących się wojen. Wybuchają one we wszystkich zakątkach świata z różnych powodów, zawsze jednak błahych w zestawieniu z nieszczęściami, jakie niosą. *Ci głupi ludzie / znów do siebie strzelają / jakby im mało było / trupów tamtej wojny / zatopionych okrętów / rozszarpanych wagonów / oczodołów domów / usypanych mogił / i sierot niechcianych // jakby zapomnieli / że wojenne rany / nie sposób zabiścić / przez kilka pokoleń / że życia nie przywrócą / najlepsze kliniki / a uśmiechu dzieci / najślawniejsi klauni / że dar życia jedyny / już się nie powtórzy.*



Pierwsza linijka ostatniego wiersza stała się tytułem tomiku: *A ja wciąż bez odpowiedzi / dlaczego zło się panoszy / dlaczego człowiek na człowieka warczy / dlaczego nie ma końca wojen.* Czy to zdziwienie poety może mieć wpływ na bieg politycznych wydarzeń? Nadzieja nikła, zwłaszcza gdy się pamięta, że *nawet Gandhi / Matka Teresa / i nasz wielki Papież / niewiele wskórali / głód wojna i przemoc wciąż bezkarne trwają.*

Niemniej jednak jestem przekonana, że skromny, bo liczący tylko 50 stron tomik Gąsiorka „A ja wciąż bez odpowiedzi” na długo pozostanie w pamięci czytelników. A może mieć ich całkiem sporo, bo – jak zapowiada dyr. Jaworski – przygotowywane jest wydanie go w języku niemieckim.

Na zakończenie więc wiersz pt. „Mur” bezpośrednio dotyczący Berlina i Niemców, ale tak naprawdę wszystkich nas z tak zwanych dawniej państw obozu socjalistycznego:

Przez dwadzieścia osiem lat / rozdarty był naród / zasieki / budki strażnicze / jak za okupacji / ale po obu stronach muru / mówiono tym samym językiem / z tą tylko różnicą że z tej / ciszej i nie o wszystkim / po obu stronach budowano domy / tu z wielkiej płyty i azbestu / tam nisko tonące w zieleni / po obu stronach bawiły się dzieci / i były radosne jak dzieci / po obu stronach śpiewano hymny / dwa hymny jednego narodu.

Gąsior (Jerzy Gąsiorek), *A ja wciąż bez odpowiedzi*, Gorzów Wlkp. 2012, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, red. Edward Jaworski, Danuta Zielińska, s. 50

GAŚSIOR

Antybajka

Poznali się
pokochali
mieli dzieci
zbudowali dom
kupili samochód na raty
on stracił pracę
ona miała raka
wkrótce zjawiał się komornik
żyli krótko nieszczęśliwie

Dobro

Tak niepopularne
i często ukryte
jest przecież w słońcu
chlebie i uśmiechu
w znaku krzyża
karmiącej matce
w dojrzałym łanie
i we mnie...
ale wciąż za mało

Leszek Żuliński

Magiczne oko przymrużenia

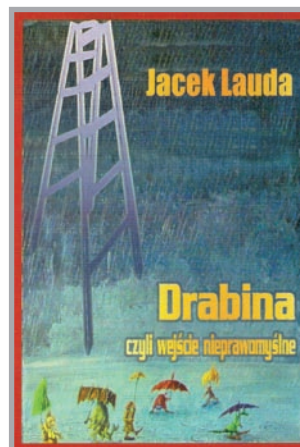
W roku 2012 ukazał się zbiór miniopowiadań Jacka Laudy pt. „Eskimos w operze, opowiadania na chór, orkiestrę i kanarkę”. Ale na stronie stopkowej postrzegam rok wydania 2009, bo w tymże roku książka, opatrzona numerem 32 serii Biblioteki Pegaza, została skierowana do druku... Z różnych techniczno-merytorycznych przyczyn dopiero teraz trafia do rąk czytelników. I chwalić ten traf, bo autor – fcecjonista, stańczyk i uroczy zgrywus – w swym dziele poszedł na całość. Nawet na okładce powymyślał sobie cytaty „recenzentów” z takich gazet, jak „Tasmanian Voice”, „Majak codzienny”, „Miesięcznik Funeralny” czy „Ziemniak Polski”. Ten ostatni periodyk informował: *Piękna epopeja ziemniaczana. Nostalgia wykopków, pieczone ziemniaki, rzewne porykiwania traktorów. Arcydzieło literatury rolniczej*. A w środku aż 125 utworów niewielkich, za to soczystych i „na każdą okazję”. Bo Lauda jest uniwersalny – znakomicie porusza się i w ojczyźnianych klimatach Jerzego Ofierskiego, i w kulturach wszech miejsc i czasów, dysponuje poczuciem „humoru totalnego”, jak również „szczegółowego”, dzięki czemu świat pod jego binoklem oglądany jest ze wszystkich stron, od kurnej chaty po salony. Tak czy owak narodził nam się wtedy satyryk pierwszej klasy, co w heroiczno-cierpiętniczej tradycji literatury polskiej zawsze podobne jest do wystrzału, który podrywa z drzewa chmurę śpiących wróbli.

Minęły trzy lata i proszę: Lauda poszedł za ciosem! Jego najnowsza książka „Eskimos w operze” jest naturalnym ciągiem dalszym książki pierwszej. W zasadzie obie można przeczytać jednym tchem – i jeszcze nam mało! Dziś już można śmiało powiedzieć: habemus pisarzem! Satyrycznego. I to w cudowny, inteligentny, finezyjny sposób. Pisarza 48-letniego, gorzowianina, malarza i rysownika (w obu tomach znajdziemy bardzo dobrze komponujące się z tekstami rysunki autora)...

A teraz skupmy się na gejerze humoru Pana Jacka...

Proszę sobie wyobrazić taką scenę: Winnetou siedział ze skrzyżowanymi nogami na swym posłaniu. Księżyc przewędrował już po niebie, a sen nie przychodził. Odczuwał nieznaną mu dotąd niepokój i – by go zagłuszyć – palił jedną fajkę pokoju za drugą. Drżącą ręką wychylał kolejny kieliszek ognistej wody, kończyły się kiszzone ogórki... A cóż to za stres dopadł naszą Czerwoną Twarz? Proste: jutro matura!

Albo historyjka z 58 strony ostatniej książki: *Dawno, dawno temu, kiedy Ziemia była jeszcze płaska, a słońce wirowało wokół niej, zdarzyło się, że wielki talerz przechylił się niebezpiecznie. Kuliste przedmioty zaczęły staczać się ruchem jednostajnie przyspieszonym, aż przekraczały krawędź Ziemi i ginęły bezpowrotnie w bezmiarze czarnego kosmosu*. Istna apokalipsa! Wszystko, co się wydarzyło, przechodziło ludzkie pojęcie, ale nie wyobraźnię autora... *I pewnie byłoby tak po*



dzis dzień, gdyby nie zjawił się człowiek, który wstrzymał słońce, a ruszył Ziemię. Odtąd Ziemia jest okrągła jak piłka. Powiada ją jednak starzy ludzie, że coraz szybciej stacza się po płaskim jak talerz kosmosie i tylko patrzeć, jak spadnie w otchłań bezdenną. Brrr, I takie właśnie absurdalne scenki są krwią i mięsem opowiadań satyrycznych Jacka Laudy.

Satyra polska, mam wrażenie, bardzo podupadła. W czasach niedawnych, a niesłusznie

zapominanych, mieliśmy jej jakby więcej, nie brakowało też mistrzów – od Mrożka po Tyma, od Samozwaniec po Fedorowicza. Mistrzowie małych form mieli swe regularne popisy na łamach „Karuzeli” i „Szpilek”, STS był legendą, a kabarety (choćby Kabaret Starszych Panów Przybory i Wasowskiego) trzymały inteligentny i wysoki poziom literacki. Dziś jakoś mniej nam do śmiechu, czy co?

Lauda jest „odjazdowy”. Zero toporności i populizmu, a rzekłbym nawet, że jest w tej prozie mocny pazur indywidualny i nowy timbr humoreski. Wyrafinowane to opowiadanki, jakby surrealne, trzymające się ziemi, a jednak bujające w jakichś obłokach i zakąszające swoje pomysły niebieskimi migdałami. Autor ma nie tylko wspaniałe poczucie humoru, ale i absurdu. Gra na nielogicznościach, zaskakująco adoptuje pour la hec każdy swój real. Tak, tak, Cygan dla żartu da się powiesić, a Lauda nie ogląda się na nic, tylko wszystko zmienia w zgrywę. Delikatną, subtelną, prowokacyjną, rewaloryzującą nasze wrodzone sztywniaństwo, hiperpowagę i nadęcie (nie mówiąc o ponuractwie). Moim zdaniem, jest w tym jakaś filozofia, to coś więcej niż zwykła kpina czy błazenada. „Potrzeba śmiechu” (kiedyś napisałem książkę pod takim właśnie tytułem) jest osobliwą postawą życiową, przebijającą liczne balony, które odwodzą nas od właściwego „stosunku rzeczy”. Kto umie się śmiać – jest mądrzejszy; wierzę w to.

Są to w większości miniatury. Ciepłe, przyjazne, w swoisty sposób „liryczne”, w każdym razie pozbawione agresywnej kpin. Świat jest tu pokazany w alternatywie wdzięcznej bez troski i przymrużonego oka. Jako specyficznie alogiczny, homogenizujący racjonalne wątki i klimaty, mieszkający porządki logiczne, lewitujący w pure nonsensie i niedorzeczności. Ale właśnie w takim lustrze snadnie odbija się zgroza naszego „mieszczańskiego ładu” oraz wszelkie miary, które czasami warto by podpompować helem humoru, lżejszym – jak wiadomo – od tlenu realizmu. Krzywe zwierciadła czasami mówią więcej niż te dosłowne.

Niektóre z tych opowiadań zostały napisane dla samej rozkoszy pisania i „lubieżności słowa” – na przykład „Taki szalony walc” z pierwszej książki. Tam tylko chodzi o to, że młody baron zapatrzył się w piękną damę, porwał ją do walca i przez dwie kolejne strony w brawurowej determinacji królują na parkiecie. Ale jak! Co się tam działo, to boki zrywać, lecz także zobaczyć uskrzydloną namiętność i zatracenie w tańcu. Majstersztyk! O Guy de Maupassancie mówiło się, że pisał takie perełki, choć niesatyryczne. Ale już w innym opowiadaniu pan Nagaskura wraz ze swą małżonką udają się do pana Takanogi, który zaprosił ich na harakiri (ech, znamy tę drętą po-

wagę japońskich ceremoniałów chociażby z filmów Kurosawy). W domu przyszłego samobójcy zbierają się dostojni goście; najpierw trzygodzinny ceremoniał parzenia i picia herbaty, woń kadzidełek, tężająca atmosfera oczekiwania, aż pojawia się pan Kusanogawa, sekretarz gospodarza domu, który oświadcza: – Pan Takanoga gorąco przeprasza, ale jest zmuszony odwołać dzisiejsze harakiri. Jest przeziębiony. I przedstawił zebrany, dla wiarygodności, zaświadczenie lekarskie. Jednak nie po to goście tu przybyli. Zaczęli wykrzykiwać swój zawód i wściekłość. Na szczęście pan Takanoga był człowiekiem honoru, więc wyznaczył zastępstwo. Pan Kusanogawa szybko wygłosił okolicznościowe haiku o wyższości placów ryżowych nad kartoflanymi i błyskawicznie dobył miecza. Przez chwilę błysk wakizashi dorównywał lśnieniu wyszczerzonych w uśmiechu białych zębów pana Kusanogawy, dopóki stalowe ostrze nie zanurzyło się w jego obfitym brzuchu. Należy domniemywać, że państwo Nagaskurowie wrócili do domu zadowoleni. Ot, taka „głupotka”, ale cudownie napisana, bawiąca się „humorem kulturowym”, napisana „dla zabawy”, a jednak pozostająca w czytelniczej pamięci.

Jacek Lauda jest mistrzem tego typu zabiegów i efektów. Jego deformacje formują nas na nowo, pod warunkiem – oczywiście – że potrafimy jeszcze się śmiać i szukać słowa w niedośwordności.

Jest to książka idealna do poduszki, do odprężonego zaśnięcia, po którym obudzimy się rano lżejsi i bardziej tolerancyjni. Wyposażeni na nowo w fantazję, z której tak bardzo okrada nas dzień codzienny.

Tak więc ogłaszam tego autora prestidigitatorem, fantazjotwórcą i Niki Laudą polskiej prozy satyrycznej!

Leszek Żuliński



Krystyna Kamińska Zabawa z Eskimosem

Nikogo nie dziwi, że za prąd, gaz, wodę, ciepło i co tam jeszcze, płacimy zgodnie ze wskazaniem odpowiedniego licznika, więc jak możemy, oszczędzamy prąd, gaz, wodę i co tam jeszcze. No właśnie, co jeszcze da się wymierzyć i żądać opłacenia? Spółdzielnia, w bloku której mieszka pan Marian, zainstalowała licznik kroków lokatora, a każde stąpanie było rozliczane. *Od tej pory pan Marian firanki zasłaniał długim kijem, nie ruszając się z fotela. Na przykład gazetę chwycił własnoręcznie skonstruowanym wyciągiem, a kiedy już musiał się ruszyć, stawiał maksymalnie długie kroki.* Gdy pan Marian

JACEK LAUDA „ESKIMOS W OPERZE”

opanował już minimalizację kroków, spółdzielnia zainstalowała nowy licznik, licznik snu... Historyjka o panu Marianie i jego spółdzielni otwiera nowy tom opowiadań, a może lepiej humoresek, Jacka Laudy. Autor debiutował kilka lat temu podobnym zbiorem pod tytułem „**Drabina, czyli wejście nieprawomyślne**”, jego opowiadania były drukowane w „Arsenale Gorzowskim”, „Pegazie Lubuskim”, „Gazecie Lubuskiej”, czytane w Radiu Zachód. Nareszcie mamy drugą jego książkę zatytułowaną „**Eskimos w operze**” z podtytułem „**opowiadania na chór, orkiestrę i kanarkę**”.

Przedstawione na początku przeze mnie opowiadanie skonstruowane jest według ulubionej przez Jacka Laudę metody. Punktem wyjścia jest codzienne zachowanie. Przecież nikogo nie dziwi, że płacimy za prąd, gaz, ciepło, a nawet za telefon, według wskazań liczników. Ale Jacek nagle wyolbrzymia najpierw jeden z elementów naszej normalności, śledzi zmianę zachowań bohaterów opowiadki, potem dalej i dalej... Tworzy konstrukcje nadrealistyczne, zachowania nieprzewidywalne, bawi się wymyślaniami coraz to nowych obrazów i sytuacji. Dochodzi do absurdu, który czytelnik albo „kupi”, czyli zaakceptuje, albo odrzuci jako głupie wymysły autora. Zależy to od talentu autora. Na szczęście Jacek Lauda talent ma i jego opowiadania ogromnie wszystkich czytelników bawią.

A co bawi Laudę? Nie sposób wyliczyć wszystkie obszary jego obserwacji, ale tu wskażę najbardziej typowe. A więc kontrast tego, co wzniosłe, z tym, co niskie, albo natury z kulturą. Takie skonstruowanie autor wprowadził do tytułu. Bo któż to widział „Eskimosa w operze”. Jeśli tam poszedł, to na pewno nie w swoim typowym stroju. A z podtytułu – *opowiadania na chór, orkiestrę i kanarkę* sam autor się śmieje w rekomendacji książki na tylnej okładce: *Chór ryczy, orkiestra nie stroi, kanarek fałszuje. Świetne!*

Przyznam, że najbardziej mnie bawią obserwacje Jacka Laudy dotyczące owadów. To stworzonka malutkie, delikatne, ale wyobraźcie sobie zwykłego komara sto razy większego. Ten by dopiero gryzł. A gdyby tak na ludzi przenieść owadzie obyczaje? Oto fragment jednego z opowiadań: *Urodził się kilkanaście godzin temu, choć gęsty zarost, zakola czołowe i wyraźne zmarszczki wokół oczu przydawały mu wygląd czterdziestolatka. Po godzinie rozmowy był już posiwiasty, twarz mu obwisła, a na dłoniach pojawiły się plamy wątrobowe.* Narrator nie może się nadziwić takim zmianom: okazuje się, że jego rozmówca jest... jednodniówką. Jak wiele owadów. Jacek ma niebywałe pomysły.

Na książkę „Eskimos w operze” złożyło się 125 krótkich opowiadań ułożonych w alfabetycznej kolejności tytułów. Można ją otworzyć w każdym miejscu i przeczytać choćby jedną historyjkę, by sobie poprawić humor na cały dzień. Wiele z tych opowiadań ilustrowanych jest kapitalnymi rysunkami autora, które bawią czasami nawet lepiej niż sam tekst. Życzę Państwu radości przy tej lekturze.

Jacek Lauda, *Eskimos w operze, opowiadania na chór, orkiestrę i kanarkę*, wyd. ZLP Oddział w Gorzowi Wlkp. w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego Nr 32 i Atelier Medialno-Szkoleniowe RRED FROG Deszczno, s. 160;

Jacek Lauda, *Drabina, czyli wyjście nieprawomyślne*, Wyd. Art.-Graf „Arsenal”, Gorzów Wlkp. 2003, s. 120



Zmartwychwstanie

Babcia zmartwychwstała na siódmy dzień. Długo waliła w drzwi rodzinnego grobowca, aż wreszcie wypuścił ją stamtąd kustosz cmentarza, który zaraz zemdał. Bynajmniej nie z wrażenia, nie takich rzeczy doświadczył, po prostu babcia była niecierpliwa, więc kiedy tylko drzwi się otwały, przyłożyła bogu ducha winnemu człowiekowi prawym prostym.

Za życia babcia, mówiąc oględnie, nie była łatwa we współżyciu, ale po zmartwychwstaniu była po prostu nie do zniesienia. Czepiała się wszystkich i o wszystko. A że na porządną trumnę jej poskąpiliśmy, a że kwiatów mało, a suknia stara, a tak w ogóle to chciała zostać skremowana. Słowem – wszystko zrobiliśmy nie tak (zresztą jak zawsze).

A co my mieliśmy powiedzieć? To my mieliśmy prawo mieć jej za złe ten nieodpowiedzialny powrót. Wykosztowaliśmy się na pogrzeb i stypę, wymarzliliśmy na cmentarzu (umieranie w listopadzie uważam za wyjątkową złośliwość), zainwestowaliśmy w żałobne ubrania i, mimo wszystko, nacierpieliśmy się po stracie nestorki rodziny. A ile wstydu się najedliśmy! Nigdy dotąd nie zdarzyło się coś podobnego w naszej szacownej rodzinie. Takie samowolne zmartwychwstanie, wbrew eschatologicznym standardom, niezgodnie z konwencją jest godną potępienia aberracją i nihilizmem. Zawsze nami pogardzała, a teraz po raz kolejny dała temu wyraz.

Najgorsze było jednak to, że testament został otwarty i już zdążyliśmy się nacieszyć schedą po babci, a tu coś takiego! Czy można zjeść cukierka, którego obiecało się dziecku? Czyż to nie niegodziwość?!

Uznaliśmy zgodnie, że mamy moralne prawo przeciwstawić się tej babcinej jawnej złośliwości. Tym bardziej że w świetle prawa babcia nie żyje (posiadamy trzy opieczętowane akty zgonu), a więc prowadzi egzystencję nielegalną. Jej postawa ma nie tylko anarchiczny charakter, ale nosi wyraźne znamiona przestępstwa. Czy jako szanowana rodzina, kierująca się poczuciem obywatelskiej powinności, świadoma odpowiedzialności za społeczny ład, możemy pozostać bierni? Podjęliśmy jednogłośnie decyzję: nie!

Poeta

Najlepszą rzeczą dla poety jest śmierć – myślał opierając się o barierkę. Jednak nie może to być jakakolwiek śmierć, byle jaka, banalna. To musi być coś wyjątkowego, drastycznego, śmierć niepospolita, jak najbardziej nieprawdopodobna. O, taki poeta nie zostałby łatwo zapomniany. Nie szkodzi, że jedyny tomik poetycki w nakładzie jak na lekarstwo pozostał niezauważony nawet przez mole. Ani jednej, nawet złej, recenzji. Tragiczna śmierć pozostawiłaby go w pamięci potomnych na długo. Jej ponury cień, kładąc się na jego skromnej poetyckiej spuściznie, postawiłby ją w nowym świetle. Metafory zyskałyby metafizyczną głębię, a całość

jego dokonań, z perspektywy śmierci, stałaby się uniwersalną alegorią... w zasadzie, wszystkiego.

„O, chociażby taka Wirdzinia Łulf – myślał – utopiła się. No tak, ona pisała tak, jak mówiła – prozą, a ja jestem poetą”.

Poza tym woda o tej porze roku musiała być lodowata, a on, jak to poeta, jest wrażliwy. Zresztą odległość od mostu do powierzchni rzeki wydała mu się przesadzona. Popatrzył z niechęcią na wartki nurt i wtedy zauważył jakąś postać niesioną przez wodę, rozpaczliwie walczącą z pochłaniającym ją żywiołem. W jednej chwili ocenił, że jeśli zaraz zbiegnie na brzeg rzeki, to może uda mu się pochwycić tonącą, jak mu się wydawało, kobietę, z drugiej strony mostu, gdzie rzeka zakręcała w gwałtownym meandrze.

Tonącą rzeczywiście znalazła się tuż przy betonowym nabrzeżu, więc łatwo pochwycił ją silnym, zwłaszcza jak na poetę, uściskiem i wyciągnął z wody ledwie tylko zamaczając rękaw. Nacisnął na brzuch i fontanna wody chlusnęła z ust topielca. Zaraz też je rozchylił, by tchnąć w nie życiodajny oddech. Ujrzał wówczas niewiarygodnie bujny garnitur zębów. Niestety, kiedy zorientował się, że niedoszły topielec

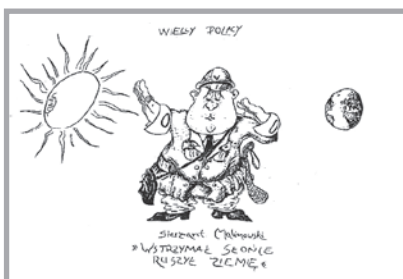
nie jest jednak kobietą, lecz zupełnie zwyczajnym, przeciętnej urody i średniej wielkości rekinem ludojadem, było już za późno.

Wielkim kompozytorem był

Mówiłem, że nie znam się na muzyce, jestem dziennikarzem sportowym, znam się na piłce nożnej i strzelaniu z łuku na czczo, ale Naczelny mówił: „idź i napisz recenzję, bo nie ma kogo posłać”. Co miałem robić? Napisałem.

„Ech, co za wspaniała muzyka” – tak napisałem, bo takie „ech” dobrze wyraża zachwyt. „Już uwertura, niczym wyszukana przystawka, zapowiadała wykwintne danie godne królów” – pisałem dalej. „Zaiste, tak było. Akustyczna ambrozja, niewysłowiona rozkosz dla uszu i ducha” – naprawdę się starałem. „Smyczki raczyły audytorium słodyczą tak ziemską, że zdawało się, że to aniołowie łkają” – nieźle, co? „A potem nagle burze kotłów i kanonada werbli, a to znowu dostojne waltornie i melancholia wiolonczeli. Jakiż cudowny i niezwykle melanż dźwięków, boska harmonia, muzyka sfer” – wspinałem się na szczyty moich możliwości. „A dyrygent?! Istny demon, zaklinacz dźwięku, Prometeusz muzyki, który przyniósł nam światło duszy” – to bardzo dobre. I jeszcze: „Wreszcie solista. Nie ma słów w ludzkim języku, by nazwać jego ulotne dzieło. Klawiatura nieprzyzwoicie uległa jego smukłym palcom (czy to możliwe, że miał ich tylko dziesięć?). Fortepian i pianista zdawali się jednym ciałem, oboje czarni, zespoleni gęstą materią dźwięków” – czyż to nie doskonałe? I na koniec jeszcze o autorze utworu: „Pochylmy głowy, Szekspir wielkim kompozytorem był”.

I to ostatnie zdanie mnie zgubiło. Naczelny nie uwierzył, że byłem na tym koncercie, mimo że kłamałem nadzwyczaj przekonująco.



Agnieszka Moroz

Studium
oswojonego lęku.(O „Dzieciach z Hameln”
Leszka Żulińskiego)

Ludowe podanie o fleciście z Hameln, który grając na zaczarowanej fujarce, zahipnotyzował i wyprowadził w nieznaną dzieci z całego miasta, stało się inspiracją szeregu wierszy zebranych w najnowszej książce **Leszka Żulińskiego**. Występujące w utworach poety postaci znacząco różnią się od swych pierwowzorów – znajdują się w ciągłym ruchu i nieustannie zmieniają tożsamość, kusząc (lub w przypadku „dzieci” – dając się zwieść) kolejną maską, muzyką, formą lub barwą. W tytułowym wierszu *Dzieci z Hameln* tajemniczym grajkami okazuje się śmierć, dziećmi zaś – orszak ludzi, którzy przez całe życie wirują do wygrywanej przez nią melodii w szaleńczym tanse macabre. W *Listopadowym wieczorze* wszechwładną przewodniczką zostaje żydowska pieśniarka, Yasmin. Jej śpiew brzmi tak pięknie i poruszająco, że słuchający dziewczyny bohater w jednej chwili zamienia się w Żyda – wzrasta w nim ściana płaczu, a w jego kieszeniach pojawiają się okruszki macy. Zdecydowanie dominującym wizerunkiem jest jednak femme fatale, z lubością odgrywająca rolę ponętnej hipnotyzerki i dręczycielki mężczyzny, który staje się przy niej bezbronny jak dziecko. W kolejnych wierszach Żuliński mnoży jej wizerunki, ukazując ją jako żarłoczną ostrygę, rozbuchane ognisko, gorący eliksir z werbeny i mandragory, demona – utęsknionego, lecz pojawiającego się tylko w malignie... Snute przez niego wizje wyraźnie nawiązują do modernistycznych obrazów kobiety-modliszki, kobiety-wampira czy kobiety-demona. Zapach siarki, który w wierszu *Afekt* rozciąga wokół siebie dziewczyna, świadczy o tym, iż ulegający jej bohater ma do czynienia z istotą diabelską, nieczystą siłą, pragnącą go opętać. Stworzone przez poetę postaci płci żeńskiej przypominają kobiety z powieści Przybyszewskiego – są niczym sępy, czekające w łóżku na padlinę. Dążą nie tylko do zaspokojenia swoich żądz, ale przede wszystkim do zdobycia dominacji – chcą zaabsorbować mężczyznę, wchłonąć go i pozbawić władzy. Podmiot liryczny cechuje zaś charakterystyczny dla modernistycznych bohaterów mizoginizm, objawiający się jako lęk przed „użębioną waginą”. Pojawiający się w wierszach Żulińskiego mężczyzna niejednokrotnie sięga po broń, by w razie potrzeby móc się bronić. Język, którym rozchyła małże, staje się ostry jak nóż, nożem otwiera również ostrygi, jak gdyby chciał sprawdzić, czy wewnątrz nie czai się niebezpieczeństwo. Tak przedstawiony bohater liryczny początkowo może się wydać podobny do mordercy z opowiadania Edgara Allana Poe’a *Beatrycze*, który w przypływie szaleństwa wyrwa swej pięknej kuzynce wszystkie zęby. Podobieństwo obu postaci jest jednak tylko pozorne. W utworach Żulińskiego bohater opanowuje bowiem w końcu swój lęk. Przekonuje się, że kobieta nie musi być wcale niszczytelką i w pełni się jej oddaje. Świadczy o tym choćby fragment wiersza *Morze Łaskawe*: *chciałem otworzyć ją nożem jak ostrygę, ale*



rozchyliła się sama / i połknęła mnie w spazmie przyływu / nad ranem leżała obok mnie syta i zamknięta; / z portu dochodziły hałasy dnia, / z miasta – syreny fabryk, / z głębi – cisza. Ona najpiękniejsza. Można zatem stwierdzić, iż bohater liryczny Żulińskiego „ewoluuje”. Nie pozostaje ślepcem, oceniającym kobiety z pozycji mizogina i nieuleczalnego fanatyka. Mimo tego, nawiązania do twórczości Przybyszewskiego są w utworach Żulińskiego bardzo konsekwentne. Należy zauważyć, iż oprócz wspomnianej kobiety-modliszki, pojawia się tu również inny, bliski Przybyszewskiemu obraz – jest to kobieta-przewodniczka artysty. Fakt ten szczególnie wyraźnie uwidacznia się we wspomnianym już *Listopadowym wieczorze* (postać Yasmin) oraz

w utworze *Gopłana*, w którym znudzony i pozbawiony weny poeta zostaje natchniony przez wodną nimfę „zalewającą mu usta wierszem”.

Oprócz frapujących nawiązań do literackich tradycji (poza opisanymi inspiracjami, uważny czytelnik odnajdzie tu również aluzje do Márqueza, Grassa, Różewicza czy Joyce’a) tomik olśniewa bogactwem konstruowanych przez poetę obrazów. Niespotykana wręcz, w tak dbających o formę i paradoksalnie pozbawionych ozdóbek utworach, plastyczność zdumiewa. Deliryczne wizje, w których scena przenika scenę (jak choćby w wierszu *Duszość*) oraz rozkwitające niczym pustynne róże wyobrażenia (jak wspomniana już przeze mnie wizja przemiany w Żyda) w niezwykle sposób wpływają na percepcję, dotykając czytelnika do głębi.

Ponadto warto zauważyć, iż teksty zawarte w tomie *Dzieci z Hameln* nie są wolne od niewesołych rozważań nad dokonanymi przez bohatera lirycznego wyborami. W utworze *Strasne manowce* podmiot mówiący dokonuje rozrachunku ze swoim życiem, które tak, jak flecista z Hameln, wywiodło go donikąd. Zamknięty w ślepym zaułku, staje twarzą w twarz z ciszą i nie jest w stanie uciec przed głosem własnego sumienia. Smutne refleksje pojawiają się także w *Racji braci Grimm*, gdzie Żuliński dosłownie „odczarowuje” baśń, ukazując, że w życiu nie ma ucieczki przed złem do „zasiedmiogórogradu”.

Mogłabym długo jeszcze wymieniać zalety *Dzieci z Hameln*. Szczególnej uwagi domagają się znakomite gry słowne, lingwistyczne zabawy czy konstruowane przez autora filozoficzne łamigłówki. Sądzę jednak, że warto pozostawić je interpretacji czytelników, zwłaszcza że do przeczytania najnowszej książki Żulińskiego nie trzeba dłużej zachęcać. Każdy, kto sięgnie po tę lekturę, z łatwością da się bowiem uwieść słowom poety i kartka po kartce będzie za nimi podążał niczym dziecko z Hameln oczarowane melodią flecisty.

Leszek Żuliński. Dzieci z Hameln. Poezja. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2012, s. 64

Leszek Żuliński (1949) – krytyk, eseista, poeta. Wydał 9 tomików poetyckich: *Z gwiazdą w oku* (1975), *Przechodzień z Efezu* (1979), *W wielkim akwarium ciemności* (1988), *Chandra* (2007), *Ja, Faust* (2008), *Rymowanki* (2010), *Mefisto* (2011), *Dzieci z Hameln* (2012).

Więcej o autorze na www.zulinski.pl

PANI ALINA

pani Szapocznikow zmienia miejsce zamieszkania

pani alina wyprowadza się z ciała. swego czasu tułała się po świecie – od terezina po litzmannstadt, do tej pory jednak nie wyjeżdżała tak daleko.
w ramach przygotowań zebrała kapitał doświadczeń, część rozmięła na drobne przyjemności: czerwoną szminkę i proszki, które upłynniają granicę

między ulgą a znużeniem. podobno praca czyni wolnym.
pani alina ciągle pracuje nad sobą. dzięki pigułkom może wyjść po bulki, ale coraz częściej wychodzi z siebie.
beźmiar własnych ograniczeń uderza ją na odlew.
wyostrza kontury i napelnia kształtem – nie nosiła w sobie tyle treści nawet gdy miała biust.

wtedy wyglądała pięknie, teraz wygląda przez okno.
przed wyjazdem pani alina szuka biura podróży. chce, aby wyprawa, do której przygotowywała się całe życie, przebiegła bez problemów. dlatego kartkuje prospekty.

pani alina nie może zasnąć. czeka na ból, który nie przychodzi.
w ten sposób zauważa, że nie chce nigdzie jechać.
spróbuje zadzwonić, przebukować.
rano ktoś zatelefonuje z jej sypialni do innej firmy.

pani Szapocznikow rzeźbi macierzyństwo

ósmego dnia stworzenia pani alina postanawia odzyskać człowieka. nie aspiruje do roli kolejnej z figur, naprzemiennie uśmiercanych i powoływanych do życia przez umysły tęższe niż poliuretan, który rozwija w wielotomowe wątki,

historie miłosne i historie chorób. pani alina zastanawia się, w jakim języku krzyczy owoc, kiedy rodzi pestkę. dlaczego zawsze w głąb, natomiast człowiek na oścież.
pani alina wie, że biodra należy stosować ostrożnie, pod bardzo ostrym. kątem oka obserwuje wcięcie – wkrótce zablizni się, w arteriach popłynie chlorofil.

sady wypełnią się nim po brzegi, późnym latem zaczną krwawić mdłym zapachem jabłek. w jaki sposób pszczoła zmienia drzewo w negatyw – pani alina zachodzi w głowę, nie w ciążę. rzeźbi wielkie brzuchy.

pani Szapocznikow pozbywa się majuskuły

pani alina w imię sztuki rezygnuje z wielkiej litery. wcześniej wyparła się szczotki do włosów i bluzek z dużym dekoltem.
ale w pierwszej strofie nikt tego nie wiedział.

jak przystało na porządnie poprowadzony utwór wiersz napisany kobietą wyciekał spomiędzy, kapał na głowy przechodniów i dachy kamienic. kiedy wprawna ręka oddzielała dźwięki od strun, salę operacyjną wypełniała muzyka. wspomnienia pani aliny też pachniały szopenem, chociaż nigdy nie brzmiały czysto. bergen-belsen chrząściło pod językiem. w trzeciej strofie pani alina zdala sobie sprawę, że ostrze, które wchodziło w nią jak się wchodzi w poezję, wytyczyło granice między ciałem a metaforą rozciągającą się stąd, aż po wielką literę. to nieskończoność anaksymandra, którą pani alina będzie opowiadać minuskułą. drobnym ściegiem zszyje skrawki, że znaku nie będzie. zechce zachować wszystko, co chirurg odrzuci od siebie, te tampony i nożyczki. w czwartej strofie czytelnik dowie się, że pani alina nigdy nie wyrzuci swoich biustonoszy

pani Szapocznikow a kosmos

pani alina znajduje oś symetrii między koślawymi udami pramatki – przytępiony grot strzałki czasu, biegnącej od wielkiego wybuchu do wielkiego kolapsu.
zaprowadzona przed majestat pępka, podziwia nieskończoną entropię podbrzusza, które pochłania niknące światy i nowe byty z nich wyprowadza.
pani alina dostrzega ochrę na kredowych wargach.
wyobraża sobie ich wilgoć i ciepło wprowadzające w trans jak słowa starożytnych pieśni.

chciałaby zlizać neutrina i dzieła sztuki – urodzaj spływający z kącików ust mówiących językiem delt i wybrzuszeń. pani alina połyka zapach włosów falujących pod strażą podwójnego słońca.

gdyby wenus z willendorfu miała oczy
pani alina zobaczyłaby dudniące bębny.

pani Szapocznikow poznaje Güntera von Hagensa

niemiecki anatom zafascynowany ikebana przysyła venule pani alinie. cięte kwiaty kojarzą się z prosektorium. nie sposób podnieść do rangi sztuki

wystawy podrobów – pani alina szuka wśród półtusz treści innej niż jelitowa. nie chce krwistych metafor, których finezja ogranicza się do wprawnej preparatyki. różnica między zwłokami a ciałem

tkwi w miejscu, w którym postawiono kropkę. pani alina przykłada wagę do interpunkcji – papierosem kończy każdy związek wyrazowy. nieudany kompromis między kinetyką czynności twórczych

a bezruchem litery – złudzenie optyczne, które powstaje, ilekroć ktoś czyta cudze rzeźby. pani alina nie potrafi rzeźbić cudzych wierszy

w masarni obowiązuje zakaz palenia

zielnik pani Szapocznikow

pewnego razu pani alina była świadkiem schizmy. nie tyle sprokurowała oderwanie narracji od przedmiotu, ile przyłapała materię w centrum dziania się. albo – jak kto woli – człowieka wychodzącego z klatki

piersiowej. na miejscu zbrodni znalazła wylinkę. uda stopione do prążyka, który znaczy.

pani alina postanawia skatalogować utracone światy. nie potrafi odczytać dysku z fajstos, chociaż rozumie skórę. pod łóżkiem trzyma pancerze, z których wyrósł jej syn. bruzdy i spiętrzenia sięgające do dna.

dluto jest jak podwójna helisa. stwarza.

Natalia Pałczyńska – absolwentka II LO w Gorzowie w roku 2009. Studiuje polonistykę na UW. Debiutowała z rekomendacją I.K. Szmidta w „Pegazie Lubuskim” 5 (21) 2006 r. W 2009 r. w serii Biblioteki Pegaza (nr 29) ukazał się jej pierwszy samodzielny tomik poetycki pt. „Lekcja anatomii”. Na studiach nie zaniedbuje pisania. Uczestniczy w młodoliterackim życiu stolicy. Należy także do grona Poetów Okrągłego Stołu w Gorzowie.

Aneta Kolańczyk Poeci od piór

Książka „Rozmowy z piórami” zaczęła się od rozmowy, jaką odbyła gorzowianka-poetka **Beata Patrycja Klary** z gorzowianinem-poetą **Kazimierzem Furmanem**, krótko przed jego śmiercią. Zmarł 14 października 2009 roku.

Furman urodził się w 1949 roku w Jędrzejowie k. Piły, ale od dzieciństwa mieszkał w Gorzowie. Debiutował w 1974 roku wierszem opublikowanym w „Nadodrzu”. Pierwszy tomik jego poezji „Powrót do osłupienia” ukazał się w 1976 roku. Andrzej Krzysztof Waśkiewicz tak mówił o jego twórczości: „Jeżeli spróbujemy dziś zastanowić się nad tym, jak będzie można opisywać odpowiedni rozdział literatury polskiej, co spowoduje, że Furman jest ważny. Nie będzie się to oczywiście rozgrywać na poziomie wartości artystycznych, bo te są uzależnione od wartości wyższych, społecznych, świadomościowych. Furman – nie on jeden, więcej jest takich, ale niewielu – Sobkowiak, Warszawski. Jest to pewien etap, ważny dla świadomości dwudziestowiecznej. Najogólniej rzecz biorąc byłaby to świadomość proletariacka i wartości proletariackie”.

Sam Furman w rozmowie z Beatą Patrycją Klary mówi: „Wyróżniałem się. Oczywiście byłem normalnym chłopakiem, chodziłem na dziewczyny, paliłem, nawet nie przychodziłem na noc do domu, ale w szkole byłem zawsze i do tego chwalono mnie. Później niestety wojsko wybiło mnie z rytmu uczenia się. Wszystko poszło w przysłowiową dupę. Chciałem studiować dziennikarstwo, ale jakoś nie wyszło. Może byłbym nieudanym poetą, czyli wybitnym krytykiem literackim”.

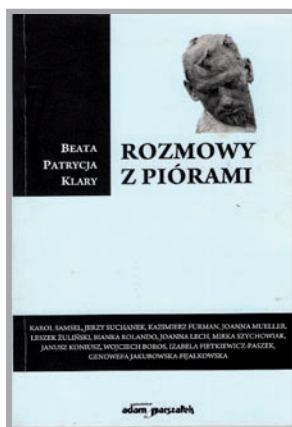
Ta rozmowa była początkiem. Potem trzeba było wybrać (spośród wielu) kilka nazwisk i „pogadać” o poezji i pisaniu. Tak powstał arcyciekawy, polifoniczny zbiór wywiadów. Głosy są bardzo różne, bo rozmówcy wybrani przez Klary to przedstawiciele kilku pokoleń, wyraziste, niezwykle osobowości. Każdy z nich mówi własnym głosem, ale ten głos jest już znany i rozpoznawalny.

Klary zaprosiła, oprócz wspomnianego już **Kazimierza Furmana**, jedenastu poetów: **Karola Samsela**, **Jerzego Suchaneka**, **Joannę Mueller**, **Leszka Żulińskiego**, **Biankę Rolando**, **Joannę Lech**, **Mirkę Szychowiak**, **Janusza Koniusza**, **Wojciecha Borosa**, **Izabelę Fietkiewicz-Paszek** i **Genowefę Jakubowską-Fijałkowską**.

Dlaczego taki wybór? „To są ludzie, których cenię i lubię” – mówi Klary i nie wymaga to żadnego komentarza.

Rozmowy dotyczą poezji, jej funkcjonowania dawniej i dzisiaj, języka i roli, jaką spełnia. **Wartościowanie jako jedyna droga poszukiwania akceptacji przez poetę? Slamy, konkursy, nagrody – czy to najlepsza droga?** – pyta mocno „konkursowa” Beata Patrycja Klary zupełnie pozakonkursowego Karola Samsela, który odpowiada w typowy dla siebie sposób – piękny, wyważony, mądry: *Arcydziela notuje się w ciszy gabinetu, chwiejnie i niepewnie, próbując utrzymać równowagę na kruszejącej granicy między samotnością a nicością. W tym sensie poeta jest przede wszystkim akrobatą, linoskoczkiem, ekwilibrystą, nie zaś szamanem, jak chcieliby zapewne slamerzy, laureaci konkursów poetyckich, zdobywcy nagród literackich.*

No właśnie. Wysyłać, nie wysyłać, może nie zwracać sobie głowy konkursami i robić swoje. Tylko co znaczy „robić swoje” i jak to robić skutecznie?



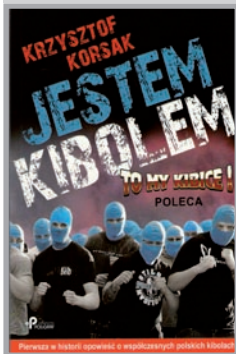
Pisanie do szuflady jest mniej skuteczne niż powierzanie listu butelce wrzuconej do morza. Najpewniej ten jeden jedyny czytelnik nigdy do niej nie zajrzy! Z kolei poeci, którzy pisali/szają „pod konkursy” (czy raczej „pod jurorów”), często samoograniczali/czają się do wywołania zachwytów ciec i wujów na „rodzinnej” bałandze. Trzeba być „geniuszem” od razu albo wspinać się własną drogą, często jak Syzyf... Czyli daremnie. – mówi Jerzy Suchanek, poeta, fundator przyznawanej od wielu lat Nagrody Otoczaka. Dwa głosy, dwa pokolenia, nie jedyne w „Rozmowach z piórami” próby odpowiedzi na odwieczne pytania o rolę poezji i poety we współczesnym świecie, choć to współczesnym często dla każdej generacji znaczy coś innego.

Niezwykle trafnie mówi o tym Leszek Żuliński. Na pytanie: – **Współczesna literatura kontra klasyka, jak to widzisz?** – odpowiada: *Czy mamy więc przełom totalny? Na to mi wygląda. I, co więcej, sądzę, że on będzie długo trwał i radził sobie żywotnie w tych „nowych okolicznościach przyrody”. Choć prorokiem być trudno, meander czasów, świata i sztuki bierze często zakręty, o jakich się, nawet wspomnianym już filozofom, nie śniło. I to właśnie, Beatko, są wyznaczniki Twojego pokolenia. Ja trzymam kciuki, bo udało mi się, jak sądzę, zrozumieć, że każde status quo istnieje po to, by go reformować. Tylko pamiętajcie o jednym, przyjdą następni i to samo uczynią z waszym status quo... Bo przyjdą ze swoimi, nie z waszymi, racjami.*

Współczesność kontra klasyka to także pytanie o obecność klasycznych gatunków w dzisiejszej poezji. Izabela Fietkiewicz-Paszek jest autorką kilkudziesięciu sonetów, złożonych w cykl „Próby wyjścia”. O swoim „sonetowaniu” mówi: *Dla tzw. umysłu ścisłego, a takim, pomimo emocjonalnego rozwiczenia i nieuporządkowania zdaje się być, sonet to przyjazne środowisko, wymaga precyzji, świadomego użycia środków, wyczucia miary, harmonii, właściwej gospodarki słowem. Tłumaczyłam się niedawno Markowi Dąbrowskiemu ze skłonności do tak wymagającej formy, nazwałam ją przy tej okazji do końca po imieniu, otóż odpowiada mi, jeśli strumień myśli wpada w tory, które pozwalają wyjść od statycznego opisu, od relacji z „zastanego” w tetrastychach, a w tercynach porzucić rolę obserwatora i wywrócić rzeczywistość na lewą stronę. A to, co pozornie wygląda na ograniczenie, tworzy tak naprawdę niezwykle pojemną formę. Rozpiętość pomiędzy pierwszym a czternastym wersem jest niebywała, można tam naprawdę wszystko. Tylko trzeba zacząć myśleć sonetem. A to myślenie przyszło samo, odkryłam też przy okazji naturalną łatwość rymowania. W sonecie znalazłam także swoją osobistą furtkę do ekfrazy.*

W poezji nic nie umiera i wiecznie coś się rodzi, to nieustanne stwarzanie, nieustanny też powrót do źródeł, patrzenie w głąb. Zapytana, czy dostrzega jakieś zagrożenia dla istnienia poezji – Genowefa Jakubowska-Fijałkowska powie – „Poezja jest nieśmiertelna”. Te słowa niech będą puentą. Najlepszą z możliwych.

Beata Patrycja Klary, Rozmowy z piórami. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń, www.marszalek.com, Toruń 2012, s. 172. Wywiadów udzielili: Karol Samsel, Jerzy Suchanek, Kazimierz Furman, Joanna Mueller, Leszek Żuliński, Bianka Rolando, Joanna Lech, Mirka Szychowiak, Janusz Koniusz, Wojciech Boros, Izabela Fietkiewicz-Paszek, Genowefa Jakubowska-Fijałkowska.



Ważni kibole

Krzysztof Korsak, młody dziennikarz – do niedawna – „Gazety Lubuskiej” napisał ważną książkę. Ważną dla Gorzowa, a także dla całej Polski. Dla Gorzowa, bo jest to książka mocno związana z realiami naszego miasta, a dla kraju, bo traktuje o zjawisku społecznym obecnym wszędzie. Książka nosi tytuł „Jestem kibolem” i jest pierwszą w historii opowieścią o współczesnych polskich kibicach. Na okładce zdjęcie ze trzydziestu mężczyzn w niebieskich kominiarkach i w czarnych koszulkach. Na piersi stojącego w środku duże logo klubu „Stilon”. To o nich książka, o współczesnych herosach, o kibicach drużyny piłki nożnej, którzy przerodzili się w kiboli: „Szliśmy blisko siebie. Większość z nas była obcięta na łyso albo miała kilkumilimetrowe włosy. Może ze dwie osoby miały fryzury postawione na żel. Prawie każdy o sportowej sylwetce. Gros z nas ubranych było w koszulki w czarnym kolorze. Królowały marki kibicowskie i związane ze sportami walki. Na nogach nosiliśmy przede wszystkim dresy, choć kilka osób miało także bojówki. To było to. Moc. Siła. Duma”.

Każdy rozdział dotyczy kolejnego meczu Stilonu Gorzów, ale nie dowiemy się niczego o tym, co działo się na boisku. Kibole nie oglądają meczów, nie interesują ich zawodnicy ani wyniki sportowe. Ich świat to stronnicy innych drużyn, a bliżej metody ich dyskryminacji, czyli pobicia. O sobie z dumą mówią, że są wyższą grupą społeczną – chuliganami. Głównym bohaterem i narratorem jest Kamil Czarnecki, z wykształcenia historyk, z zawodu nauczyciel, liczący się z opinią dyrektora szkoły, uczniów, a także swojej rodziny. Jest oddanym nauczycielem młodzieży do piętnastej w piętki. Potem przeradza się w kibola z ksywą „Belfer”. Jak wszyscy jego koledzy staje do walki o honor swojej stilonowskiej drużyny.

Powieść Krzysztofa Korsaka napisana jest żywym językiem, co prawda z ogromną ilością wulgaryzmów, ale z góry przyjmujemy, że w kibolskim świecie obowiązuje taki styl.

Z autorem o książce „Jestem kibolem” będzie można porozmawiać 18 października o godz. 18.30 w klubie „Lamus”. Zapraszamy. Więcej o niej na www.jestemkibolem.pl, a także w następnym numerze „Pegaza”. (kk)

Nowe artystyczne miejsca



Rodzą się coraz to nowe miejsca, do których zapraszani są gorzowscy poeci. 20 września **Krystyna Caban** czytała swoje wiersze w restauracji „Misz-Masz” w galerii „Nova Park”. Właścicielka tej restauracji zamierza tam stworzyć miejsce bliskie artystom. Na ścianach teraz wiszą duże zdjęcia Sławka Sajkowskiego z Ameryki Południowej, 19 października pokaże swoje obrazy Stanisław Mazuś. Jeśli nawet Ameryka Południowa słabo przystaje do wierszy Krystyny Caban, to artystyczna atmosfera dobrze wpływała na klimat spotkania. W pierwszym wieczorze w „Misz-Masz” wzięli udział przede wszystkim przyjaciele poetki. To spotkanie było, a wszystkie następne będą anonsovane w materiałach reklamowych galerii Nova Park i restauracji. Właścicielka przygotowała znakomite kanapeczki na ząbek. Drobiazg, który bardzo miło wpłynął na atmosferę wieczoru. Poeci dziękują.

Pierwsza płyta Filharmonii Gorzowskiej

W minionym sezonie artystycznym orkiestra **Filharmonii Gorzowskiej** nagrała płytę z dwoma koncertami skrzypcowymi. Nagranie płyty było częścią nagrody dla laureata XIV Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w 2011 r. Pierwszą nagrodę zdobyła wtedy młoda i niezwykle utalentowana skrzypaczka z Korei – **Soyoung Yoon**. Płyta ta jest właśnie realizacją nagrody. Niezwykłym wyróżnieniem organizatora konkursu – Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego było powierzenie akompaniowania skrzypaczce gorzowskiej orkiestrze pod dyktando **Piotra Borkowskiego** oraz nagranie całej płyty w gmachu naszej filharmonii. Znalazły się na niej **dwa koncerty skrzypcowe: Jeana Sibeliusa koncert d-moll op. 47 i Piotra Czajkowskiego koncert D-dur op. 35**.

Soyoung Yoon powszechnie została uznana za jedną z największych skrzypaczek swojego pokolenia. Najpierw zdobyła wszystkie ważne nagrody dla młodych muzyków w Korei, a potem wiele w świecie: jest laureatką trzech najbardziej prestiżowych konkursów skrzypcowych w: Brukseli, Moskwie i Indianopolis, a na konkursie im. Dawida Ojstracha odebrała całą pulę nagród: Grand Prix, nagrodę dla najlepszego wirtuoza oraz nagrodę specjalną Towarzystwa im. Lutosławskiego. Występowała w najważniejszych salach koncertowych, także w filharmonii w Gorzowie. Nagranie płyty z tak obsypaną nagrodami solistką stawia dyrygenta – Piotra Borkowskiego oraz orkiestrę Filharmonii Gorzowskiej w rzędzie wyróżnionych muzyków i zespołów. (red.)



Pierwszy Rom w gronie najwybitniejszych polskich twórców!

ZŁOTY MEDAL „GLORIA ARTIS” DLA EDWARDA DĘBICKIEGO

Edward Dębicki 12 kwietnia br. otrzymał z rąk ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bogdana Zdrojewskiego **Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”**. Jest to pierwsze najwyższe wyróżnienie resortowe, które otrzymał polski Rom!

Minister zaprosił do swego Gabinetu w Warszawie również przyjaciół Edwarda, gdzie przy blasku fleszy i romskiego święta dokonał aktu dekoracji. Medal ten nadawany jest szczególnie wyróżniającym się twórcom, którzy dla polskiej kultury narodowej wnieśli swe najwybitniejsze wartości. Edward Dębicki otrzymał ten zaszczytny medal m.in. za 55-letnią nieprzerwaną działalność twórczą, jako artysta muzyk, kompozytor, poeta, organizator i po-

pularyzator kultury cygańskiej, festiwalu romskich. Razem z nim wzrastał Cygański Teatr Muzyczny „Terno”, który założył w 1955 roku. Z nim przemierzył trasy koncertowe niemal na całym świecie! Międzynarodowe Spotkania Zespołów Cygańskich „Romane Dyvesa” – to kolejne jakże ważne wydarzenie popularyzujące autentyczną kulturę romską, zainicjowane przed 24 laty przez Edwarda. Jeżeli do tych dokonań dodam blisko 200 pieśni, skomponowanych przez Mistrza i wirtuoza akordeonu, wiele widowisk estradowych, muzykę filmową, Wigilię Narodów, wspomnienia wydane drukiem pt. „Ptak umarłych” (dwa tomy) i szereg innych działań – to jawi nam się człowiek o wybitnych zasługach w sferze romskiej kultury narodowej.

Warto też dodać, że w przeddzień wyjazdu E. Dębickiego do Warszawy w Bibliotece Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie Wlkp. odbyła się kolejna edycja Międzynarodowego Dnia Romów, organizowanego przez Stowarzyszenie Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Papuszy oraz tamtejsze Akademickie Centrum Kultury. W odświętnej atmosferze z towarzyszeniem wystawy „55 lat Zespołu „Terno” i jego twórcy – wicewojewoda lubuski Jan Świrepo wręczył twórcom i działaczom gorzowskiego stowarzyszenia Honorowe Odznaki „Zasłużony dla Kultury Polskiej” przyznane przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Otrzymali je: Ewa Dębicka, Janusz Dreczka, Piotr Krzyżanowski i Stanisław Dębicki.

Leszek Bończuk



Pamięci Andrzeja K. WAŚKIEWICZA

Dziś postawiłem w ogrodzie – właściwie przy wejściu do ogrodu, obok schodów – marmurową bryłę w kształcie litery „A” upamiętniającą Andrzeja K. Waśkiewicza. W środku bryły, miejscu poprzecznej „beleczy” litery „A”, jest

naturalny otwór, rodzaj małej grotty, w której zapaliłem świeczkę. Poniżej na ceglany słupku, na którym stoi bryła, umieściłem tabliczkę z inicjałami „AKW”. Za jakiś czas zorganizuję wieczór Andrzeja poezji.

Eugeniusz Kurzawa

„Pan Tadeusz” – czy Go jeszcze pamiętasz?

8 września 2012 roku cała Polska czytała i słuchała „Pana Tadeusza”. Akcję tę zainicjował pan prezydent Bronisław Komorowski dla uczczenia dwusetnej rocznicy wydarzeń opisanych w XI księdze tej narodowej epepe. W 1812 roku wojska polskie razem z wojskiem Napoleona wkroczyły na ziemię zaboru rosyjskiego, co rodziło nadzieję odzyskania przez Polskę niepodległości. Mickiewicz pisał:

*O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd ludzie starzy
O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy...*

W gorzowskiej bibliotece mogliśmy w bardzo wygodnych warunkach słuchać klasycznego nagrania poematu w wykonaniu Krzysztofa Kolbergera. Ale było także czytanie i słuchanie na żywo. Taką formę uczczenia rocznicy i poematu podjęto w dwóch gorzowskich domach pomocy społecznej. (kk)

BEATA PATRYCJA KLARY SPOTKANIE AUTORSKIE

08.09.2012 r., w Klubie Myśli Twórczej „Lamus” odbyło się spotkanie z Beatą Patrycją Klary oraz promocja jej pierwszej książki prozatorskiej pt. „Rozmowy z piórami”. Gośćmi spotkania byli poeci i krytycy: Izabela Fietkiewicz-Paszek, Karol Samsel i Leszek Żuliński.

Beata: *Słówko o historii tej książki – Blaskiem „Rozmów z piórami” są ludzie. Ci wszyscy anonimowi, którzy zainspirowali mnie swoimi pytaniami do jej napisania, oraz jej bohaterowie. Pomysł narodził się na jednym ze spotkań poetyckich z moimi wierszami. Ktoś z sali zapytał: a kogo pani dzisiaj czyta? Jakie nazwiska warto znać? Odpowiedziałam bez namysłu: Fijałkowska, Samsel, Suchanek, Rolando, Fietkiewicz, Żuliński, a i kim był Furman trzeba wiedzieć. A potem pomyślałam: przecież ja ich wszystkich znam! A skoro tak, to mogę z nimi porozmawiać i w ten sposób przybliżyć czytelnikom.*

To są wyjątkowi poeci – różni ich wiele (przekrój od trzeciego do siódmego krzyżyka), pleć, dorobek (debiutanci i posiadacze wielu książek), wykształcenie, życie... bo wspomniany Kazimierz Furman już od trzech lat nie żyje. Widzą poezję na swój sposób i tą wiedzą chętnie się dzielą. Nie pozują, nie udają – są szczerzy, zupełnie tak jak ich wiersze.

To są ludzie, których cenię i lubię. Mam nadzieję Drogi Czytelniku, że i Ty ich polubisz, a dzięki tej książce sięgniesz do ich twórczości.

Beata Patrycja Klary – poetka, felietonistka, animatorka kultury. Debiutowała w 2003 roku w drugim numerze „Pegaza Lubuskiego”. W 2005 roku ukazał się jej pierwszy samodzielny tomik wierszy „Witraże”, wyróżniony dyplomem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za najlepszy debiut roku.

W 2006 roku otrzymała Stypendium Prezydenta Miasta Gorzowa Wielkopolskiego w dziedzinie literatury.

Zdobyła kilkadziesiąt nagród i wyróżnień na ogólnopolskich konkursach poetyckich i literackich, w tym m.in. laureatka prestiżowych konkursów: „O Miłowy Słup” (2010, Konin), „Piórem Malowane” (2010, Kraków), „Czerwona Róża” (dwukrotnie, w 2010 i 2011, Gdańsk), Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Zdzisława Morawskiego (2011, Gorzów) czy „O Strzałę Erosa” (również dwukrotnie, w 2011 i 2012 roku, Nowa Sól).

Po „Witrażach” w 2006 roku wydała tomik wierszy w językach polskim i angielskim pt. „Imaginacje”, dwa arkusze poetyckie: „Nokturny intymne” (2007) i „Schną koniczyzny” (2008).

W roku 2010 wydane w oficynie biblioteki gorzowskiej „Szczekanie głodnych psów” spotkało się ze świetnym przyjęciem przez grono krytyków. W 2011 roku otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki za tomik „Zabawa w chowanego” (2011). Jej najnowszą książką poetycką są „De-klaracje” wydane w tym roku w serii Biblioteki „Toposu”.

Więcej o tej znakomitej książce na stronach 8 i 9 naszego pisma w recenzji Kingi Mazur. Tamże drukujemy w całości poemat „Anty-geny. Lalki rebourn” stanowiący drugą część „De-klaracji”.

Beata obecnie prowadzi życie literackiego nomada. Wędruje po Polsce, odbierając liczne konkursowe nagrody, uczestnicząc bądź prowadząc warsztaty, odbywając spotkania autorskie w wielkich, średnich i małych miastach, poznając ważnych ludzi literatury, ugruntowując swoją, coraz wyższą pozycję na drabinie wiodącej na Parnas. (iks)

1. Frednie na Zielonej Kotlinie

W okresie wakacyjnym siedziba Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Gorzowie Wlkp. dostępna jest tylko do godziny 16.00 w dni powszednie, ale mimo to, artystyczna eresteczkowa brać nie próżnuje i nie zapada w dwumiesięczną sjęstę. Spotkania odbywają się na ogródkach działkowych, czy przydomowych ogrodach. Właśnie 7 lipca 2012 roku na Fredowej Zielonej Kotlinie w ogródku przydomowym odbyło się wakacyjne spotkanie członków i sympatyków RSTK.

Impreza zaczęła się nietypowo, od zajęć praktyczno-technicznych. Nad stołem biesiadnym trzeba było rozpiąć zielony namiot chroniący przed słońcem. Łączenie rurek różnej długości w misterny szkielet zajęło trochę czasu, ale było urozmaicheniem wakacyjnym. Prawdziwy survival!

Za wiechę nowej budowli posłużyła spora gałązka bylicy przyniesiona przez Sylwka Turskiego jako „Zioło” – dla uczczenia jednej z uczestniczek spotkania. Trzeba bowiem dodać, że uczestniczka-debiutantka tegorocznych warsztatów RSTK Joanna Klich z Kielc, która na warsztatach otrzymała artystyczny pseudonim „Zioło”, przyjechała specjalnie na to spotkanie.

Jak na wakacyjną biesiadę przystało, był rzecz jasna grill, poczęstunek, napoje, ale i duchowej nie zabrakło strawy. Jednym z dań głównych był wakacyjny turniej poezji miłosnej pod patronatem „Gorzkiego Dziada”. Udział wzięli prawie wszyscy. Dlaczego o miłości? Wystarczającym uzasadnieniem może być myśl grecko-polskiego pisarza i poety śp. Nikosa Chadzinikolau, wygłoszona na XXV Jubileuszowych Warsztatach RSTK: „Człowiek bez miłości szybko się starzeje, a dzień bez melodii, poezji, bez myśli poetyckiej, to dzień stracony. Nie wróci, by pomóc w regeneracji sił fizycznych i psychicznych. Poezja pozwala więc kochać świat i mieć w sercu więcej słońca”.

Zadanie konkursowe polegało na odczytaniu wiersza lirycznego o tematyce miłosnej. Uczestnik mógł sobie wybrać ulubionego autora. Do dyspozycji uczestników byli tacy autorzy, jak: Adam Asnyk, Jan Brzechwa, Władysław Broniewski, Bolesław Leśmian, Halina Poświatowska.

Najlepsze okazały się: Joasia Klich, która wybrała do recytacji wiersz Haliny Poświatowskiej i Urszula Kołodziejczak, mówiąca wiersz Jana Brzechwy.

Zaskoczeniem był fakt, że to nie poeci, a plastycy znaleźli się w finale konkursu. Bowiem zarówno Urszula Kołodziejczak, jak i Asia Klich realizują się artystycznie w plastyce. W ostatecznej rozgrywce zwyciężyła Urszula Kołodziejczak. Obie finalistki otrzymały nagrody książkowe.

Znalazło się także miejsce na czytanie własnych wierszy i dysputy literackie, na powtórkę satyrycznego dialogu (Ula i ja!) opartego na parodiach literackich, którego premiera odbyła się na tegorocznych XXX Warsztatach RSTK, podczas wieczoru synkretycznego.



Pod koniec imprezy pojawiła się przy mocno już przerzedzonej publiczności Lucja Fice (rym niezamierzony) – autorka książki „Przeznaczenie” traktującej o pracy Polaków na obczyźnie – pretendującej podobno do miana bestselleru. Szkoda, że niewielu osobom dane było porozmawiać z autorką, bo książka wartościowa i godna polecenia. Czytałem i wiem, co mówię.

2. Literacka Krystyna

Aura 21 lipca 2012 roku okazała się łaskawa dla przyjaciół poetki Krystyny Caban, którzy skorzystali z zaproszenia i udali się w sobotnie popołudnie do jej ogródka na gorzowskim Zawarcu, aby znów biesiadować, rozmawiać, a także zabawiać się literacko.

Poza „programem” mieliśmy okazję poznać członków najbliższej rodziny Krysi, tj. syna, córkę, a także wnuczkę, którego Krysia postanowiła od małości z poezją oswajać. Z Warszawy przybył Jurek Dołyż – od jakiegoś czasu częsty bywalec gorzowskich warsztatów artystycznych. Plastyk, po trosze śpiewak, muzyk, gitarzysta i poeta. Podczas ogródkowego spotkania śpiewał nam teksty Karczmarzkiego, Laskowika i jakie tam jeszcze, akompaniując sobie na gitarze. Był Marek Stachowiak z Ciecierzyc i sklecona nieomal naprędce opowieść samozwańczego Sołtysa Ciecierzyc w wykonaniu niżej podpisanego traktująca niby to o sprawach wiejskich, ale dotycząca eresteczkowej rzeczywistości – w stylizacji sołtysa Kierdziolka. Był też wakacyjny konkurs-zabawa polegający na czytaniu wylosowanych wierszy. Uczestnicy mogli dodatkowo poprawić swoją

punktację, jeśli udałoby im się odgadnąć autora „swojego” wiersza, bowiem okazało się, że do konkursu zostały wybrane wiersze zamieszczone na stronie internetowej sekcji literackiej RSTK. Wbrew pozorom odgadnięcie autorstwa wierszy okazało się dość trudnym zadaniem. Największe uznanie publiczności zyskała recytacja wiersza Mariana Krzyżostaniaka w wykonaniu Beaty P. Klary.



3. Literacki Ogród Marii Borc

W dniu 11 sierpnia 2012 roku odbyło się trzecie wakacyjne spotkanie członków i sympatyków RSTK, tym razem u Marii Borc, w jej ogrodzie na Górczynie.

Atrakcją poza-literacką spotkania były okonki złowione przez poetę Romana Habdasa. Spóźniony, ale usprawiedliwiony, zwłaszcza że okonki były wymiarowe. Odpowiednio: 18 do 22 centymetrów... Niewymiarowy szczupak, jeszcze w rozmiarze ochronnym 40,5 cm, odpłynął i tyle go widzieliśmy. Na grillu zatem rybki, ale i tradycyjne kielbaski. Potem czytanie wierszy i rozważania o twórczości Ewy Lipskiej. Były także zabawne konkursy i zgadywanki literackie. Pod wieczór do głosu doszły komary. Przyszła pora na pożegnanie i spacer w towarzystwie Marii i Igora – gospodarzy spotkania, na pobliski przystanek autobusowy. Do widzenia! Od września w każdy czwartek w naszej pocziwej piwnicznej izbie.

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZO ZLP w Gorzowie; red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt, tel. kom. 501 520 227, tel/fax 95 729 50 80; sekretarz red.: Danuta Zielińska; współpraca: Krystyna Kamińska, Marek Grewling, Beata P. Klary, Kinga Mazur, Agnieszka Moroz. Rysunki: Andrzej Gordon, Jacek Lauda, Zdjęcia: Z. Olchownik, Fred Głodzik, Gonja, archiwa wydawcy i autorów. Projekt okładki: Zbigniew Olchownik. Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Z. Herberta, ul. Sikorskiego 107, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i ZO ZLP w Gorzowie, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp. e-mail: wag.arsenal@wp.pl; e-mail: zlp.gorzow@wp.pl; e-mail: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp.gorzow.prv.pl; Skład komputerowy: Daniel Besta i I. K. Szmidt.



TADEUSZ SZYFER

L i m e R Y K I

Prosty problem

Niedaleko miasta Łodzi
Do wychodków się wychodzi,
Lecz strach taki,
Bo tam krzaki,
A wygodkę ukradł złodziej!

Odzysk

Pewne ulice miasta Krakowa
Postanowiono wyremontować,
Lecz w tym cała gratka,
Bo to jest zagadka:
Gdzie się podziała kostka brukowa?

Promocja

Amant ślady miał na brodzie,
Bo noc spędził w Międzychodzie,
A tam piękne są dziewczyny
I to właśnie z tej przyczyny,
Chętnie brudziłby się co dzień.

Nauczka

Pewien przedsiębiorca młody
Wciąż uwielbiał samochody,
Ale poznał prawdę nową,
Gdy załatwił rzecz częściowo,
Wie, że najważniejsze – „chody”!

Hip(n)okryzja

Pewien polityk, zwany mesjaszem,
Chciałby tak wyprać umysły nasze,
By choć ich częśćka była gotowa,
Uznać obelgi – za wolność słowa,
Nim się okaże, że jest Judaszem...

Pochodzenie?

Kiedys wmawiano taki przypadek,
Że z Piastów wyrósł jego pradziadek,
Ale w tym prawdy leży sam środek:
Jeśli naprawdę był taki przodek,
To po nim został jedynie – zadek!

Farmakologia

Pani, chcąc co nieco z panem,
Dała mu tabletki znane.
Ten, by szybciej nabrać mocy,
Rozgryzł je... i przez pół nocy,
Cóż – stwardnienie miał rozsiane...

Ramówka TV

Gdy w TV na program czekam,
Może zalać krew człowieka!
Przeważają wciąż reklamy,
A więc co w swym domu mamy:
Kuchnia, pralnia czy apteka!?

Praktyka

Rzekł pewien raz fachowiec:
By poznać życie owiec,
Szczególnie jest wskazane,
Rasowym być baranem.
Czy to jest prawda? – Powiedz!

Po sąsiedzku

Pewien pan w Zielonej Górze
Z domu wyjść zabraniał córce,
Bo nie było jej dwie doby,
A nie znalazł się ktoś, kto by
Chciał zatrzymać ją na dłużej!



FERDYNAND GŁODZIK

Nielot z polotem

Mówi orzeł do strusia: jestem panem przestrzeni,
na sztandarach panoszę się dumnie;
ty niestety jedynie możesz dreptać po ziemi,
jesteś nielot i fruwać nie umiesz.

Struś powiada: nie umiem i się tego nie wstydzę;
któż cię dojrzy, jak chmury przebijasz?
Prawie każdy wyborca dzisiaj jest krótkowidzem,
to dlatego ja lepszy mam pijar.

Pewnie czasem widziałeś, jak stroszyłem swe pióra,
i dla hecy biegalem dość żwawo.
Lud uwielbia igrzyska, zatem wołał mi hura!
A bywało, że nawet bił brawo.

Na dodatek wiadomo, że największym jest ptakiem,
wokół mnie zwykle sporo jest szumu,
Nasze szanse wyborcze nie są zatem jednakie,
bo mam większe poparcie wśród tłumów.

Nie wiadomo, czy orzeł coś się z tego nauczył,
poszybował z wichrami w zawody.
Na fruwaniu w przestworzach raczej się nie utuczy.
Dziś jest ważne by dobre mieć chody!

